Nr. 1. Lwów, Niedziela dnia 6. września 1874 r. Rok I.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr., półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Redaktor odpow. A. J. O. ROGOSZ.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 10 cnt. od wiersza.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŹNE UWAGI.

I.

Dzisiejsze Prądy.

Pozytywizm i idealizm, oto dwa prądy, któremi dąży naprzód ruch umysłowy ludzkości. Prądy te wzięły z sobą rozbrat pozorny tylko, bo dążą do jednej i tej samej mety, a ścierają się z sobą jedynie tam, gdzie jeden niewłaściwie wkracza w dziedzinę drugiego. Dociekanie prawdy, zbadanie istoty wszech rzeczy, o ile ono jest przystępnem rozumowi i zmysłom ludzkim, oto zadanie pozytywizmu. W parze z nim powinno iść pielęgnowanie pięknych i dobrych instynktów tkwiących w duszy człowieka, a służących za podstawę idealizmowi. Jak prawda, piękno i dobro nietylko nie wykluczają się, ale owszem uzupełniają się nawzajem, tak się też ma rzecz z pozytywizmem i idealizmem. Służąc każdy swojemu celowi, wiodą one ludzkość ku postępowi, ku doskonałości. Jeżeli jednak pozytywizm, nie kontentując się analizą, z zebranych okruszyn wiedzy budować chce systemata estetyczne lub etyczne, wykluczając z nich wszystko, co nie jest udowodnionem, a jednak jest — lub jeżeli idealizm wdziera się do nauki i narzuca jej swoje aprioryczne pewniki jako niezawodne drogoskazy, naówczas następuje starcie, z którego obie strony wychodzą nie bez szwanku. Pozytywizmowi dostaje się zarzut, że obala moralne podstawy społeczności ludzkiej, nie umiejąc nic postawić na ich miejscu, że bożkiem jego jest martwa materia i siła brutalna, a ostatnim jego wyrazem bydlęcość. — Idealizm zaś ulega oskarżeniu, że jest zbiornikiem ciemnych przesądów i sprzecznych z rozumem uprzedzeń, tamujących rozwój i postęp wszelki. Wzajemne te zarzuty słuszne są jednak tylko o tyle, o ile odnoszą się do owych przekroczeń naturalnego zakresu działania, w gruncie rzeczy, hołdować można bez wewnętrznej rozterki jednemu i drugiemu jednocześnie kierunkowi, utrzymanemu w należnych granicach. Któż nie widział np. lekarza, bezwzględnego pozytywisty, o ile się to tyczyło jego nauki, który prześcigał wszystkich idealistów w poświęceniu się bezinteresownem i bezgranicznem, gdy niósł pomoc chorym — a z drugiej strony, czy nie jeden z nas nie zna idealisty, na pozór nie umiejącego stawić kroku bez wskazówek wziętych z Objawienia, a który przecież, rozmiłowawszy się w ornitologii, przyznał coś nakształt duszy — ptaszkom? W naszych oczach, naród, który wydał Fichtego i Szylera, i cały przejął się był w filozofii swojej przesadnim idealizmem, w sposób niepospolicie pozytywny postawił w danej chwili „siłę przed prawem“ i zwyciężył sąsiadów swoich, twórców pozytywizmu, którym świeżo wyrzucał ks. de Broglie, iż chcieli walczyć ideami, a zapomnieli o armatach....

Biada temu, kto przez zbytnią ufność w siłę swojej idei nie pomyśli o pozytywnych warunkach jej wcielenia się — biada i temu, kto chce przeistaczać świat, ogałacając go z wyobrażeń, których mu niczem zastąpić nie może! Tamtego zgniecie brutalna potęga materji, uzbrojona wiedzą — ten wraz z wiedzą swoją ulegnie pod ciężarem potrzeby, wrodzonej człowieczeństwu, potrzeby zastąpienia niedostatków rozumu i zmysłów, pojęciami snutemi z głębi duszy, z uczucia. Przyszłość jest tego, kto potrafi utrzymać równowagę między pozytywizmem a idealizmem, i oddać każdemu z tych dwóch bóstw, rzeczywistości i ideałowi, haracz należny.

Zadaniem literatury jest, wytyczać tę drogę wiodącą do tryumfu. Tak silnem zaś jest zespolenie wszystkich gałęzi ruchu umysłowego w każdym narodzie, że prawidło obowiązujące w jednej z nich, staje się obowiązującem we wszystkich. Źle, jeżeli naród kołysząc się w wierze w swoją żywotność, w świętość praw swoich, nie pracuje nad pozyskaniem materialnych warunków bytu, ale źle także, jeżeli zagłębiwszy się w tej pracy, przestanie pielęgnować wiarę w swoją przyszłość i miłość swojej przeszłości. Źle, jeżeli krytyka cyrklem i formułkami mierzy utwory fantazji, ale jeszcze gorzej, jeżeli fantazja natchnieniem zastąpić chce cyrkle i formułki. Ten wybryk fantazji niebezprzykładny u nas, jak świadczy Matejki „Kopernik“, oddziaływa szkodliwie na społeczeństwo, odwodzi od pracy, rodzi mistyczne zachwyty i w ślad za niemi, zupełną niezdarność. Z drugiej strony, mędrkowanie i przykładanie uczonych szablonów do dzieł talentu poetycznego i artystycznego, rozpowszechnia skłonność do ujemnego zapatrywania się na rzeczy, za którą idzie niezdolność do zapału, niewiara i zwątpienie. Śmiało więc twierdzić można, że ten tylko naród jest na dobrej drodze, w którego literaturze kierunek pozytywny i idealny równoważą się nawzajem, broniąc każdy właściwej swojej dziedziny.

SERCE I REKA.

Powieść prawie historyczna

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Connubia sunt fatalia.
Przysłowie.

Panu Kamillowi Lemonnier
w Bruxelli.
Z pozdrowieniem przesyła
Autor.

Przed wiejskim kościółkiem, otoczonym staremi lipami rozłożystemi, którego budowa, mimo późniejszych restauracji dawne bardzo czasy przypominała gotyckim przyczółkiem i strzałkowatemi oknami — stał w nowiuteńkiej sutannie ocierając pot z uznojonego czoła, młody, słusznego wzrostu ks. Wikary i wzdychając poglądał ku dworowi.

Kilku chłopaków, stary zakrystjan i babka kościelna krzątali się żywo kończąc świąteczne przybranie wnętrza.. Był to gorący dzień a raczej ranek Lipcowy.

Obok księdza Wikarego, z założonemi w tył rękami, w letniem ubraniu dosyć ubogiem, smętnie jakoś poglądając dokoła, przechadzał się nie młody już mężczyzna, którego można było wziąć za starszego sługę dworu lub rezydenta.

Na twarzy Wikarego znać było, że mu coś w niesmak poszło.

— Ale, proszęż cię, panie Macieju, odezwał się po chwili mężkim, grubym basowym głosem — cóż się takiego stać mogło, aby znowu ślub został odłożony?? ja, dalipan, nic już nie rozumiem.

— Albo ja tam wiem, odrzekł zagadnięty ochrypłym, zmęczonym tonem, z wyrazem zniechęcenia i obejrzał się do koła.... Kto tam może wiedzieć co się w pokojach robi? Goście są wszyscy, pan młody i ojciec jego... z naszych zaproszonych nikogo nie braknie....

— Więc coż znowu zaszło? spytał Wikary śledczemi oczyma wpatrując się w starego, który spuścił wzrok i ramionami ruszył. — He? panie Macieju? przecież pan Radzca musiał pan u powiedzieć?

— Nic mi nie powiedział — rzekł Maciej, — wyszedł z salonu do mnie, kwaśny jak rzadko, popatrzał na mnie i odezwał się, jakby się wstydał tego co powie: — Idź, wasan, panie Macieju, i powiedz tam na plebanji czy kościółku, ażeby nie czekali... bo ślub dziś odbyć się nie może....

— Mówił — dziś? podchwycił ksiądz.

— A no — dziś, boć przecie się to kiedyś skończyć musi! szepnął Maciej.

— I dla czegoż się wprzódy z tém nie rozrachowali państwo? dodał Wikary — na prawdę rzekłszy, nie wiedzieć do czego to podobne... Z dnia na dzień zwłoki... o cóż to idzie?

— Panna Rozalia mi mówiła, że panna młoda nie zdrowa....

— Niezdrowa? niedowierzająco powtórzył ksiądz, znać nieśmiejąc dodać nic więcej.

Spojrzeli na siebie rozmawiający...

— Zacharjasz? rzekł, odwracając się Wikary do starego organisty — dajcie wy tam pokój kwiatom i zieloności, bo to wszystko powiędnie.... panna niezdrowa, ślub się podobno odwlecze.—I Zacharjasz ramionami dźwignął, splunął, ale nic nie mówiąc wszedł nazad do kościółka, zniecierpliwienie rzuceniem gwałtownie miotły w kąt — objawiając.....

Wikary z panem Maciejem poszli powoli przez podwórze kościelne, dawny cmentarz, ku plebanji. Tuż za staremi lipami także w cieniu lip i kasztanów, stała plebanija murowana... a nieco opodal zabudowania probostwa i szpital dla ubogich sług kościelnych, na którego ścianie wisiał wyblakły obraz Łazarza ze psy liżącemi rany nóg jego i krzyż czarny z wizerunkiem Zbawiciela...

Po za murem otaczającym cmentarz dawny, rozdzielony tylko szerokim gościńcem, widać było pałac dziedzica, gmach bardzo pokaźny, nie dzisiejszej architektury, ale ze smakiem odnowiony i otoczony wspaniałym dziedzińcem, ubranym w krzewy i kwiaty. —

Odszedłszy kilkanaście kroków ode drzwi zakrystji, ks. Wikary się zatrzymał i zwrócił do idącego za nim pana Macieja, który właśnie dobywał tabakierki, aby z niej zaczerpnąć szczyptę pociechy...

— No, co to z tego wszystkiego będzie? zapytał cicho...

Stary kiwał głową, trzymając w palcach tabakę nad otwartą szeroką tabakierą i głową trząsł dziwnie. Widocznie z kwasu jaki w sobie czuł, wstręt miał się spowiadać.

— Albo ja wiem co się dziś z nami i u nas dzieje! rzekł zwolna. — Jeden Pan Bóg to wie, a jedna nasza jaśnie wielmożna pani... te tajemnice trzyma w garści.... Ja nawet wątpię, żeby Radzca wszystko wiedział, i rozumiał. Jego tak tumanią, jak wszystkich...

Hm — począł rozgadując się — panna chora! panna chora! kogo to tem oszukują! — Bogiem a prawdą jej się za tego panicza iść niechce, ot, cała rzecz... po co ją gwałtem wydają?

Pod murem w cieniu lip stała ławka; ks. Wikary usiadł i wskazał miejsce towarzyszowi, który na rożku się tuż usadowił z uszanowaniem....

— Dla czegoż ją za niego wydają? dodał Wikary....

— Otóż w tem sęk.... Kto to zgadnie? kto ich zrozumie, a raczej, nie ich, ale naszą jaśnie wielmożną panią.

— Jeśli kto to wy, panie Macieju, lepiej to wszystko wiecie i rozumiecie niż drudzy — odezwał się Wikary... moglibyście i mnie objaśnić....

Stary pan Maciej którego wygolona twarz, cała w zmarszczkach dziwnie się wykrzywiała, usta wydął, popatrzał w niebo, zażył tabaki i nie odpowiedział nic. Ruchem ramion tylko wyparł się tego, by cokolwiek mógł objaśnić. —

Ks. Wikary wiedział, że naleganiem rzadko się co zdobywa, wolał poczekać, aż się staremu same usta otworzą i serce wypowiedzą.

Pan Maciej westchnął....

— Wszystko u nas teraz — djabła warto, począł cicho — a nie od dziś, nie od dziś. — Pan Bóg odwrócił od nas łaskę swą i oczy, a gdy bez jego opieki pójdą sprawy na ludzkie rozumy... trudno, by co dobrego wymędrowały... Trudno! trudno! powtórzył kręcąc głową. Staremu słudze, delikatna materia obgadywać swoich chlebodawców — i ja też milczę jak kamień, milczę.... Gdyby nie to że Jegomość dobrodziej jesteś kapłanem, ani bym stęknął i przed nim. Do czego się to zdało? my nic nie poradziemy... To darmo! Gdérz nie gdérz, módl się nie módl, co przeznaczone to nie minie..

— Cóż to znowu, rozśmiał się Wikary— fatalista jesteś? a! a! toć się nie godzi!

— Opatrzność Boża — odparł stary i rękami poruszył jakby chciał skończyć.. — Dajmy już temu pokój.

Ks. Wikary nie nalegał. — Zamilkli chwilę, ale stary zamyślony, począł wkrótce znowu, bo mu wewnętrzny ból dolegał.

— Taki dom, boć to senatorski dom, mówił cicho — taka fortuna, boć to pańska, magnacka fortuna... takie kolegacje! boć to prababka Radziwiłłówna.... i tak to wszystko marnie zchodzi... na nic — na nic —

— Ale dla czegoż — na nic? podchwycił ks. Wikary.

— Jedna córka jedynaczka, mówił zapalając się Maciej — książe udzielny mógłby się z nią ożenić i nie powstydziłby się... piękna jak królewna... rozumna... nawet dobra... i... ot....

— Przecież panu Zygmuntowi nic zarzucić nie możecie? spytał po cichu Wikary, jakby się pytaniem obawiał spłoszyć rozmowę.

— Albo ja mu co zarzucam!... sarkastycznie odezwał się stary sługa — Czegoż chcieć? mężczyzna przystojny, młody... dziadek był ministrem... Goły podobno... ale nas stać dla dwojga, to by to było nic... podobno hulał porządnie — ale się musiał wyszumieć, to i lepiej... sprytny bardzo... Trudno kaprysić... a mimo to... mimo to...

— Panna go nie kocha?

— Musi coś być — cicho odezwał się Maciej... Kochania nigdy pono nie było... starał się, najeżdżał, panią po rękach całował, bodaj z matką więcej siadywał niż z panną, a u nas, jak to nikomu nie tajno, pani wszystkiem rządzi... tak się to nakoniec i skleiło...

— Żeby się tylko nie rozkleiło? podchwycił Wikary.

Staruszek się zamyślił.

— Panience, mówiąc miedzy nami i do tak godnego kapłana — panience — dodał Maciej, dwudziesty i dziewiąty rok... Tak! tak, dwudziesty i dziewiąty... Starających się było dosyć i tytułowanych. Było jedno książątko, hrabiów i nie zliczyć, bogatych kilku dorobkiewiczów bardzo przyzwoitych. Matka forytowała, i ojciec pomagał, kleiło się nieraz, ale jak tylko już rzeczy ku końcowi, nasza panna coś zmachinuje — kawaler dostał kwitka i znikł. Co to się z nią matka najadła!! Matce to, naszej pani ulega, prawda wszystko, tylko nie ona!! nasza panna Olympia, ma swoją wolę, — to darmo.... Matka krzyczy, płacze, hałasuje, narzeka, ona milczy — ani słowa... a koniec końcem wszystko na nic, i panna postawi na swojem.

Tym razem myślałam, że już będzie koniec — a — kto ją wie?

— Wymagająca! rzekł Wikary — lecz też ma prawo wybierać....

Stary się uśmiechnął gorzko, pokiwał głową, zamilkł i palce na ustach położył. Zapatrzywszy się w dal, powoli znowu mówił po chwili.

— Gdy mój kochany pan się żenił, dobry to kawał czasu — trzydzieści kilka lat — byłem jeszcze przy nim. Byłem od dzieciństwa, bom, gdy do szkół chodził, choć starszy, z nim razem się uczył, czyszcząc mu buty. — Nawykł do mnie, dawniej to się tam i serce otwierało....

Westchnął i mówił dalej.

— Gdy się zachciał żenić... ja czułem, że mimo wielkiej piękności i rozumu naszej przyszłej pani, to dla jegomości nic potem. Z kobietami jak z orzechami panie, kto ma zęby temu orzech twardy doskonały, a komu ich brak, niech się do nich nie bierze, bo sobie kości do reszty pokruszy. Ale pan nasz — zasząłpał — zakochał się, oślepł, no, mogę powiedzieć owarjował. To mu dyzhonoru nie czyni — boć to po ludziach poczciwych chodzi... No — i ożenił się... Minęło parę lat, ostygł trochę, postrzegł się sam, że to też nie przelewki, rozumem i taktem nadrabiał, wił się, bił się, udawał szczęśliwego.. a no! ja tylko wiem co on ucierpiał.... To kobieta była nie dla niego, ona potrzebowała żelaznej ręki a on miał złotą... I weszła bieda do domu i zagnieździła się, zamieszkała i.... gości.... a już się jej nie pozbędziemy do śmierci....

Zamilkli... stary zażył tabaki —

— Daruj księże Wikary staremu papli — rzekł, niema przed kim serca otworzyć, a przed kim że by, jeśli nie przed kapłanem? To trochę ulgę przyniesie a w świat nie pójdzie. Rady na to co jest, niema żadnej, dobrze, gdy się człek choć wypłacze.

— Mnie się zdaje, panie Macieju, rzekł Wikary łagodnie, że wy trochę za czarno rzeczy widzicie, przez przywiązanie do pana i do rodziny. Chcielibyście pokoju i szczęścia, a te są na świecie rzadkie... niema w tem nic dziwnego, że trochę idzie ciężko... powszednie to sprawy, walka, kłopoty... ale jakoś to się z Bożą pomocą załata. Przecież tak złego nic niema — jest majątek, jest poszanowanie u ludzi, a że tam małżeństwo trochę się czasem z sobą w zdaniach różni, że troska o dziecko serca rodzicielskie niepokoi... co tak strasznego? — Wesele się odbędzie i — koniec...

— Koniec? Byle to nie był tylko początek! odparł sucho Maciej i z ławy wstał. Nie godzi mi się więcej mówić — ale wy, czcigodny ojcze, nie wiele wiecie, a mnie na sercu leży dużo rzeczy! Nie godzi się tego mówić! nie godzi.

I westchnął...

— Ani wy nie pomożecie, ani ja... chyba pan Bóg...

— A dla czegożby On pomódz nie miał ludziom, którzy na to zasługują?

Na to pytanie ks. Wikarego nie było odpowiedzi. Z głową spuszczoną, Pan Maciej uciekł się znowu do tabakierki... Milczeli chwilę... Stary zdawał się wahać i namyślać, czy ma mówić więcej, i wylać to co mu na sercu ciężyło...

Przysunął się do ks. Wikarego, którego łagodne i spokojne oblicze ufność wzbudzało, zniżył jeszcze głos i począł znowu.

— Dopuszczenie Boże! kto zbada wyroki Opatrzności! Znakomita to była rodzina... Ja tam nie jestem świadomy przeszłości, ale pono w tych czasach gdy mało kto był bez winy i oni coś zgrzeszyli... a Bóg w czwartem pokoleniu karze... Ja win nie wiem... zresztą... kto zbada wyroki Opatrzności... Z takiego pięknego rodu jedna ot ta została gałązka, mój stary poczciwy Radzca. Hej! hej! dziadowie i pradziadowie laski i buławy dzierżyli, a temu przyszło z tytulikiem pana Radzcy chodzić po świecie! Ale o to by mniejsza, boć wiedzą ludzie zkąd on idzie i co to za imię! — Już to był dopust boży, że się u starego Wojewody on jeden ostał... Bywało w rodzinie po dwu i po trzech... ginęło to dorosłe na posłudze kraju... a tu jeden się ledwie wyhodował... Przyszła pora do ożenku, ojca już nie było... coby poradził i odradził, a kto wie, czyby ojciec stary cokolwiek mógł, bo go jejmość za serce chwyciła, że prawie zmysły postradał. Przyjaciele, krewni odradzali wszyscy. Panna była i majętna i pięknej familji i rozumna do zbytku i zalotna... a umiejąca się podobać, a no, matkę znali ludzie z płochości i awantur, których się do późnej starości nie wyrzekła. Domyślali się wszyscy że i córka nie będzie lepszą. — Gdy nic nie pomagało, ożenił się mój poczciwy, dobry pan. Z razu nic, wielkie szczęście, upojenie, miłość wielka, zabawy i wesele... Ale rok za rokiem zmieniać się to zaczęło. Przyszła na świat panienka... Zdało się że macierzyństwo uspokoi naszą panią... Kochała bo i kocha dziecko okrutnie, a no o sobie nie zapominając.... Zabawy, stroje, świat wielki, podróże, bez tego nie mogła żyć...

W domu nudziła się, mąż nie starczył nigdy, ani rodzina... a to do wód, a to do miasta na zimę... Kaprysów mnóstwo... Boże mi odpuść! po kilku latach pan pochmurniał, bo się młodzież plątać zaczęła... Cudzoziemcy, awanturniki, artyści... Opędzić się im nie było można... Z wielkiej owej miłości przyszło do obrzydzenia ze strony pani, do wymówek...

Święty to człowiek nasz pan, jak on to wszystko przetrwać umiał z czołem pogodnem, pokryć, walczyć, przed światem osłonić i ratować honor domu i majątek! Wprawdzie nie zawsze mógł zwyciężyć gdy jejmość na kieł wzięła, trzeba było i długi płacić często i dziwactwom dogadzać i nieraz uledz i wstydu się napić tak, żeby go nikt nie postrzegł... jak smakuje...

Co on zniósł, tylko może Bogu i mnie wiadomo. Nigdy nie pisnął nawet. Przed światem udawał szczęśliwego. Jam go tylko widywał na modlitwie zapłakanego... ale gdy się domyślał że go zajść mogę... wstawał co prędzej, kolana ocierał i poczynał świstać... Święty człowiek — panie...

Zrazu jeszcze było jako tako — ale gdy jejmość zaczęła więdnąć, szło coraz gorzej. Dobrze byli z sobą — a no żyć już niemogli... On osobno poszedł, ona swoim dworem... Ten gospodarzył na wsi, ta latała po Paryżach...

Doskonałym pretekstem była córka... Bo jakże tu córkę jedyną, miljonową dziedziczkę, proszę jegomości, wychować w domu? Jegomość chciał sprowadzić guwernantki, metrów, czegoby tylko potrzeba — jejmość słuchać o tem nawet nie mogła... Córka się musiała wychowywać za granicą... i — stało się, że z panią zamieszkała w Dreźnie, i siedziały tam razem, lat kilka — nawet gdy już panna Olympja słuszna była i dojrzała. Ale że bardzo miała wielki talent do muzyki więc nie godziło się go zagrzebywać i siedziały a siedziały z matką w Dreźnie.

Co to nas kosztowało! ale mniejsza by o te nieszczęśliwe pieniądze — co to się tam działo, panie mój...

Popatrzał stary na Wikarego...

— Mój ojcze, dodał, już się zaczęło, muszę się wam wyspowiadać do końca. Niech to będzie spowiedź... bo któż tam wie, czy i na mnie jaka wina nie cięży... Zaklinam Was... niech to jak kamień w morzu utonie, co powiem...

— Bądź że spokojny, panie Macieju, odpowiedział Wikary łagodnie — ja cię nie wyciągam na nic — mów ile ci się spodoba, a sekretu jak na spowiedzi możesz być pewien. Na to ci daję słowo kapłańskie.

Stary w rękę go pocałował z rozczuleniem.

— I dobrze jest, szepnął, żebyście wy wiedzieli, wszystko — kto wie? możecie być pomocą i pociechą staremu panu, będziecie wiedzieli jak się tu obracać i czyją brać stronę... Tylko wam tyle powiem... czarne a straszne rzeczy wyznać Wam muszę. — Między panem a panią przyszło do tego, że gdy wyjeżdżała, choć ją kochał, wyrzec się jej musiał. Płochą była bez miary i nic ją powstrzymać nie mogło...

Został pan nasz przy gospodarstwie, ta się z dzieckiem powlekła za tę nieszczęsną granicę.

Dziecko było kochane, śliczne, aniołek, mój dobrodzieju, ale matka rozpieściła w niwecz i taką jej dała wolę, że małe to jeszcze nie słuchało nikogo... Ojciec uściskiem tylko i pocałunkiem mógł ją czasem umiarkować. Z matką była zuchwałą... Tryskał ogień z oczów... uczyła się niepracując, do czego się wzięła pojęła, ale swawolnica jakiej świat nie widział. A jeszcze że to było takie śliczne, psuli wszyscy...

Gdy jejmość opuszczała Zabrzezie, a przyszło dwór jej składać, zawołał mnie pan, począł ściskać i całować...

— Jak mnie kochasz, powiada, poświęć się ty dla mnie i dla mojego dziecka. Wiem, że cię pani nie lubi — wiem że ci źle będzie, ale jedź z nią... Ja będę spokojniejszy.

Ciarki po mnie przeszły... pobladłem.

— A cóż ja tam poradzę! ozwałem się Pan to sam wiesz najlepiej, kiedy nie zawsze możesz przeprowadzić co chcesz, a cóż ja, sługa?

— Tu nie o to idzie, rzekł Radzca, byleś ty tam był, ja spokojniejszym się uczuję. Patrz, słuchaj... a gdyby co nadzwyczaj złego dla dziecka przypadło, oznajmij mnie. Pani się nie sprzeciwiaj... to trudno, ona zrobi co zechce... ale, wierzaj mi, rzekł cicho, więcej tam wietrznictwa i lekkomyślności niż istotnego zła. Serce dobre, głowa tylko trochę zawichrzona...

— A no, proszę pana, sama pani mnie z sobą wziąć nie zechce, na co jej ta smętna twarz...

— Weźmie cię, położyłem to za warunek, przystała... Macieju, bądź stróżem mojego dziecka...

Ścisnąłem go za kolana, co robić było, co robić! Wiedziałem, że ja tam nic nie pomogę, że mi czyścowe męki przebywać przyjdzie — a no — wola Boża.

I tak pojechałem. Pani od początku zaraz, tylko cośmy z domu wyjechali patrzeć na mnie, wiedzieć, mówić ze mną nie chciała. Posługę przyjmowała odwracając głowę, na pytania, słowa nie rzekła — jakbym tam nie był...

Nie miałem innego rozkazu od pana tylko by dziecka strzedz. Pani uważała mnie za szpiega, a no, jak się nigdy nie kryła z tem co czyniła i nie zważała na nikogo, tak i teraz.

Przybyliśmy do Drezna, wynajęto zaraz piękne mieszkanie, kupiono meble, poczęły się robić znajomości. Pani nasza była jeszcze w kwiecie piękności i spragniona zabawy, ludzi, świata. Stroiła się wedle najpierwszej mody, w domu musiało być wszystko z największą elegancją... Kucharza przywieźliśmy z sobą, bez powozu i koni nie można się było obejść... dwa razy na tydzień wieczory i kolacje... kto tylko do Drezna przybył, przez Drezno przejeżdżał... musiał być zaproszony albo na obiad, lub na herbatę.

Do panienki chodziły guwernantki, guwernerowie, w domu była bona — ale choć

pani ją kochała bardzo, więcej myślała jak się sama zabawi, niż co się z dzieckiem dzieje. Tu już ja, czy mi byli radzi czy nie, i choć mi drzwi zamykano przed nosem... nadzorowałem jak umiałem. Pierwsze lata przeszły — choć z utrapieniem dla mnie, ale spokojnie. Co pani czyniła, to do mnie nie należało wcale. O tem też i donosić nie miałem potrzeby, bo by nic nie pomogło— serce się ściskało. — Na tem koniec. Pan zkąd inąd o wszystkiem wiedział — a milczał...

Kręcił się naprzód jakiś jegomość, który był gościem codziennym. Jeździli na spacery razem, siadywał po całych dniach i wieczorach do pożna... listy do siebie pisywali bezustanku... aż zerwała się burza i poszedł z kwitkiem. Odetchnąłem, nie na długo, przybył kuzynek pani, jeszcze z młodości jej miły i ulubiony. Ten jako kuzyn zakwaterował się nawet w tym samym domu... Serce mi się ściskało — ale cożem ja mógł na to, kiedy pan wiedział i wiedzieć nie chciał... Hulaka naprowadzał ludzi, kosztował nas niezmiernie, aż wreście Niemca jakiegoś sam zarekomendowawszy, po tém historję o niego zrobił i tak się rozstali. Niemiec, Francuz i różna hołota zalegli potem u nas... Coraz było gorzej, pani starzała a szalała...

Trzy razy dostałem żółtaczki ze zmartwienia, a gdym pozieleniał, to mi się w pokoju pokazywać zabroniono. Siedziałem w kącie, pókim nie wyzdrowiał. Myślałem, że przecie umrę, a no, nie udało się.

Tym czasem panienka rosła jak lilja, jak różyczka... Bywało jak się pokaże w kościele czy na ulicy, ludzie stają, żeby na nią patrzeć. Piękna ona i dziś, ale kto ją dawniej nie widział, ten nie domyśli się nawet, jaki miała urok w sobie. I dobre to było — ale szalone. Rzadko która guwernantka wybyć u nas dłużej mogła... Matka dosyć samowolna a zmuszoną była jej ulegać. Trzymano ją jak najdłużej po dziecinnemu ubraną, dzieckiem... nie bardzo pokazywano na świat, a co chwila ciężej było utrzymać. — Nie chcę posądzać, ale nasza pani sama jeszcze piękna, bodaj obawiała się i zazdrościła córce świeżości i piękności. Miłość nawet macierzyńską trochę to ostudzało. — Chciała też pannę na uboczu mieć, bo jej dziecko przeszkadzało, nie mogła i nie śmiała się z całą płochością swą przed niem pokazać. Więc panienka z guwernantką, swoim dworem chodziła i jeździła, a pani ze swojemi adoratorami osobno.... Tylko, że już i tych się nam przebierać zaczęło... rzednieli. Czasem udało się kogo przychwycić, a no — rozpatrzywszy się, rychło brał nogi za pas.

Humor się też naszej pani coraz bardziej psuć zaczynał. — Niestawało gości i młodzieży i tego towarzystwa, które lubiła... Jam panu Bogu dziękował, że się to przecież raz może skończy — a no! gdzie tam — najgorsze następowało....

Panienka uczyła się łatwo i korzystała ogromnie, ale ze wszystkiego najulubieńsza jej była muzyka.... Jeszcze nie miała lat czternaście gdy się ludzie zbierali słuchać, tak grała ślicznie. Nauczyciele początkowi poodchodzili z kolei, trzeba było kogoś bardzo mądrego, żeby dalej uczył, bo dla niej już trudności nie było. Sami metrowie mówili, że tyle umie, co i oni.

Jakoż jesienią młody Czech zapowiedział koncert w Dreźnie. Człowiek był nieznajomego nazwiska, ubogi, ale mówiono o nim jako o nadzwyczajnym talencie. W magazynie w którym nuty pani bierała, wetknięto jej kilka biletów. — Jak dziś pamiętam nie chciała iść na koncert, ale córka się uparła i tak prosiła matkę, że ta wystroiwszy się w koronki i aksamity — pojechała. Aż słyszę po koncercie tego samego wieczora... unosi się sama pani, unosi panienka; w wielkich admiracjach guwernantka.

— Takiego nam trzeba wirtuoza dla Olimpki, dla dokończenia jej muzykalnego wychowania.... Nazajutrz pani pojechała na miasto, trzeciego dnia o południu, przyszedł pan Jarosław Bratanek, — i spotkałem go pierwszy w progu i uderzył mnie nadzwyczaj piękną postacią.... Słuszny, czarnych włosów i oczu, zbudowuny jak herkules, coś miłego i szlachetnego w twarzy... lat więcej nie miał nad dwadzieścia kilka....

W pół godziny potem grał na fortepianie.... Został do obiadu... zasłyszałem, że pani zrobiła umowę roczną o lekcje dla panny Olimpji.

Bardzo mi to nie w smak poszło, sam nie wiedziałem dla czego — jakbym nieszczęście przeczuwał....

Zaczęły się lekcje z panienką przy guwernantce a często i przy matce natychmiast... a że pani nasza też grywała i zastrzegła sobie, żeby godzinę ku wieczorowi na cztery ręce z nią grać przychodził.... Mnie po kilku tygodniach znowu się serce ściskało, bo postrzegłem, że nasza pani była zakochaną w Czechu. W tym wieku mój dobrodzieju, gdy taki szust kobietę opanuje — zguba ostatnia....

Szczęściem piękny chłopiec nie chciął się tego ani domyśleć, ani wiedzieć. — Przyjmował prezenta i przychodził na obiady i grywał, rozmawiał, uczył się po polsku, — ale najpilniej go szpiegując niedostrzegłem najmniejszej oznaki bałamuctwa... choć!... Boże odpuść — jejmość nasza gotową była grać rolę Putyfarowej, a była jeszcze wcale piękną... bo i dziś zostały tego ślady. Guwernantka zaczęła zawadzać w domu i odprawiono ją.

Panna Olimpja miała szesnasty rok.... Matka sama ofiarowała się siedzieć przy lekcjach. Bratanek prawie z domu nie wychodził — ale nicem złego nie postrzegł i zachowywał się jak był powinien.... W wielkich łaskach u wszystkich nie popsuł się.... Bezpieczniejszy już, nie wiele potem zwracałem na niego uwagi. — Cały rok trwały te lekcje z panną Olimpją i grywanie na cztery ręce. Nie dosyć było roku, został na drugi....

Panienka nam dorosła i już powoli pokazywać się w świecie zaczęła,...

Matka coraz więcej ulegała jej i obawiała się. — Charakter był gwałtowny, niepohamowany, ognisty.... Wszystko musiało się przed nią uginać.

Uderzyło mnie to w drugim roku, że z Bratankiem przy fortepianie często prawie do kłótni przychodziło. Nazajutrz byli znowu jak najlepiej, śmieli się i grali, dziecinili... szeptali. Mnie do głowy nie przyszło, żeby tam jakie niebezpieczeństwo w stosunkach tych zagrażać mogło.... Od naszej panny do Bratanka ubogiego za daleko było.. Przy tem chłopiec zachowywał należyte uszanowanie... ale był jak w domu, bo pani na wszystko czego zażądał pozwalała. Ślepy by był tego dostrzegł, że się kochała do zapamiętania i że choć chłopiec o niej ani myślał, wstrzymywała go, aby tylko nie stracić i byle nań patrzeć... zawsze w jakiejś nadziei...

Mój dobry ojcze — dodał Maciej zniżając głos... do trzech lat tak dożyliśmy przywykłszy do tego gościa w domu, który prawdę rzekłszy, tylko że wieczorem odchodził naprzeciw do swego mieszkania, a resztę czasu siedział ciągle u nas. Gdy się cokolwiek na dłużej oddalił, natychmiast pani po niego posyłać kazała. c. d. n.

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

Sewera...

I.

Sobota, upragniony dzień w całej Anglji, dla tych, którzy pracują, dla wszystkich, którzy się czegoś spodziewają — dla każdego zresztą, kto bierze, lecz nie dla tych, którzy muszą dawać..... Jest to dzień wypłaty robotnikom, służącym, urzędnikom, najmu za mieszkanie, — piekarzowi i rzeźnikowi, kupcom *en gros* i małym dostawcom. Banki są przepełnione, czeki przebiegają z rąk do rąk, ruch, życie, a przy obrocie pieniędzy i ich napływie, wesołość i dużo uciechy.

Co to za wygoda, jak kraj zyskuje pod względem ekonomicznym, przez przyspieszone termina wypłat. — Cyrkulacja podniesiona, — małym kapitałem, można obracać 52 razy na rok, — na tak krótką odległość czasu, robić sperandy, układać budżeta — w końcu oszczędzać, składać do kas, nie tracąc jednej godziny z przyrostu procentu.

Obrót bieżącego kapitału angielskiego, ma się w stosunku do obrotu innych krajów, w których miesięczne wypłaty są uświęcone, jak 52 do 12tu. — Dodajmy do tego wielki ruch wekslowy z miesięcznym i trzechmiesięcznym terminem, który się odbywa z zaufaniem papierów publicznych, — a z łatwością znamy jednę więcej przyczynę, kolosalnej różnicy bogactwa Anglji.

Na kontynencie posiadacze kapitału, przemysłowcy i bankierzy, wypłacając w miesięcznych ratach gaże — wiążą kapitał i centralizują go, obracając przez cały miesiąc na własną korzyść. Tamują tym sposobem jego ruch, przeszkadzając rozdrobieniu, a zatem wzrostowi i powtórnemu z nadwyżką skupieniu.

Wzrost i obrót kapitału, można śmiało porównać, do uprawy zboża. — Z zebranego plonu gromadzimy ziarno do spichlerza, aby je ztamtąd wywieść i przy siejbie rozdrobnić, w nadziei powtórnego, obfitszego zbioru. — Im częściej moglibyśmy powtarzać tę operację, tem częstsze i obfitsze byłyby nasze zbiory.

Czuję, żem się źle przedstawił, przy pierwszem wystąpieniu; jestem nudny jak stary profesor, który o niczem innem nie umie mówić, jak o swoich książkach, lub o ekonomji. Stracę re-

putację przyjemnego człowieka i w końcu nie będę się mógł ożenić, chyba z sawantką, która mi odda rękę, dla uświęcenia zasady powagi rozumu i nauki. Szczęście, że wybiła godzina 2ga, nie w nocy, ale po południu! Bank angielski zamyka swoje podwoje, nerw życia przecięty, serce Londynu City, raz jeszcze drgnęło i stanęło, nie bije — żelazne okiennice banków jak czarna śmierć wychylają się z piwnic przy zgrzycie zębatych kół i szczęku łańcuchów. — Czy które z dzieci ośmieli się gospodarzyć, gdy ojciec legł, lub tylko spać się położył? Cisza zalega Citę, robi się pusto i strasznie, jak gdyby zaraza przeszła... uciekających wywożą omnibusy i koleje żelazne.

Za to w innych częściach miasta ruch podwojony; publikhauzy, czyli po naszemu szynki, przepełnione; — teatra w oblężeniu, — dobry humor wybucha humbugiem angielskim, jak zwyczajnie kiedy się ma pieniądze w kieszeni i pewność, że je się będzie miało za tydzień. Można sobie pozwolić małego wybryku, to jest wypić pelall, stautu 12 kufli, lub 24 szklanek grogu a nabrawszy animuszu, wybić się, aby lecząc się mieć nazajutrz zajęcie. Nareszcie iść do teatru, wyśmiać się albo wypłakać. — Nie mówię już o cyrkach! ktoby się mógł tam dostać, w obec tłumów amatorów czekających po cztery godziny przed drzwiami kasy. — Widzieć konie i klownów w sobotę, należy do wygranych dnia.

Na rynkach i targach widzimy tłok, spowodowany przeważnie przez płeć nadobną, a wiekiem poważniejszą. Oszczędność przedewszystkiem, ztąd walka o cenę dochodzi do zenitu wytrwałości. Wszystkie produkta ulegające zepsuciu, jak mięso i ryby, co godzina zacząwszy od 4. spadają w cenie; nieprzedane tracą na wartości, gdyż jutro nie można ich zbyć. Missesy z bijącem sercem śledzą ruch tego wznoszenia się i spadku — cierpliwość godna uwielbienia. Koło godziny 7. wieczorem, cena spada o połowę; missesy szturm przypuszczają, lecz gdy w miarę wzrostu pokupu, cena się podnosi, — missesy odskakują, czekając spokojnie na pewną ofiarę. Nareszcie 11. w nocy. Tu kończy się wyczekiwanie, trzeba kupić, albo być jutro głodnym, bo czasu tylko godzina. Atak rozpoczyna się na całej linii, zabierają co jest, a wtedy i ceny podskakują w miarę bicia serc z obawy by się nie zostało w niedzielę bez objadu.

Dwunasta na zegarach miasta, rozbraja zapastników; nieubłagany policmen stawia tamę zabiegom — obie strony zadowolone wracają do siebie.

Nie wszyscy, — nie wszyscy niestety, mają sobotę tak pełną powabu i uśmiechu na jutro. Przedsiębiorcy, którym nie przyjęto roboty, fabrykanci którzy nie przedali swych wyrobów, a którzy gotówki nie mając, nie mogą wystawić czeku do swego bankiera, rzemieślnicy, którzy nie wykończyli zamówień — ci wszyscy znajdują się w położeniu nie do pozazdroszczenia. Płacić trzeba robotnikom a tu nie ma czem; — pożyczyć, pewno się już pożyczyło gdzie tylko można — obfita w Anglji mina kredytu, prawdopodobnie wyczerpana, — a tu trzeba bądź co bądź czas próby, lub czas gniewu losu przeczekać. — Samemu łatwiej przecierpieć — ale robotnikom, służbie, musisz zapłacić koniecznie, niezbędnie, nieodwołalnie! Niezapłacony w sobotę robotnik idzie prosto do obwodowego komisarza magistratu, wymienia nieodebraną sumę, którą zapisują do książki, następnie sprawdzają, po czem komisarz natychmiast za właściciela, lub majstra wypłaca. Lecz wtedy ciężko i smutno! nie płacącemu wytaczają w poniedziałek proces, za zawód i niedotrzymanie zobowiązań, karząc dyscyplinarnie. Cóż tedy robić, chcąc się ratować? Trzeba zabrać własny zegarek, żonie kolczyki, lub broszkę, nareszcie materjał fabryczny, narzędzia, suknie, pościel.... i te zanieść do zastawu, aby uniknąć ruiny i wstydu. Robotnik musi być zapłacony w oznaczonej godzinie — robotnik musi być zdrów i mieć siły, — gdyż w jego zdrowiu i sile spoczywa produkcja państwa, siła narodu, zwycięstwo konkurencji.

Robotnik angielski, mówi prawo, powinien mieć możność żywienia się regularnie, jeść mięso i pić dobre mocne piwo — dla tego jeżeli siłę robotnika angielskiego oznaczymy na 100, to w tym stosunku siła przeciętna robotnika francuzkiego wypada na 75, niemieckiego na 50, a polskiego na 30. — Robotnik francuzki je więcej chleba jak mięsa, niemiecki przeważnie chleb, a polski wyłącznie ziemniaki i barszcz.

Czuję, żem się zestarzał, ciągle wracam do ekonomji i to tak zawzięcie, że może nawet sawantka namyślać się będzie, czy iść za mnie z obowiązku, czy z poświęcenia. Lecz cóżem temu winien, że Roscher wymyślił to obliczenie, a nie skorzystać ze sposobności, aby je przytoczyć, cóżby sobie pomyślano, a co gorzej powiedziano? Nasze damy, a zresztą wszystkie na świecie damy, lubią erudycję i lubią, gdy ich znajomi i przyjacieli mają sławę uczonych, tylko uczoności nie znoszą; — protegują one uczonych, dowcipnych, wesołych, mówiących przyjemnie o wszystkiem, a tak czarująco o niczem. Tak, o niczem, w któremby atoli zawsze było coś, chociażby lekkie westchnienie, lub spojrzenie łzawe....

Wspomniałem o mięsie. Gosposie z mej ojczyzny tłustych łąk, a chudych i twardych mięs — chodźcie — patrzcie, uwielbiajcie, zazdrośćcie, możecie nawet płakać — rozumie się ze złości. — Oto baran, jako wół, a wół jako słoń! — Czterdzieści funtów mięsa bez muskułów i żył, mięsa pulchnego, ciemno-czerwonego w jednej bryle. Nie ma na świecie mięs, jak w Londynie i Anglji całej, to też nie ma zdrowszych i silniejszych ludzi — nie ma nigdzie piękniejszych dzieci — i szlachetnych miss śliczniej zbudowanych.

Gdybym był wielkim człowiekiem, zawołałbym wielkim głosem: mięsa dla szczęścia ludzkości — do jej wzrostu, dobrego bytu, a z niego pracy, cywilizacji, zdrowia i moralności! —

Lud nasz żyjąc wyłącznie ziemniakami, musi pić wódkę, aby je strawił, do której się przyzwyczaja nabierając z czasem nieprzezwyciężonego pociągu. Wódka z kartofli nie tylko że upaja i odurza, ale nieraz wpływa na rodzaj obłędu umysłowego, stając się najczęściej u nas przyczyną częstych zbrodni, niewytłumaczonych ani złym charakterem, ani nikczemnemi pobudkami obwinionych.

Rozpowszechnienie użycia mięsa u ludu, skuteczniej przyczyni się do wstrzemięźliwości jak wszystkie przysięgi, których organizm żywiony ziemniakami i barszczem spełnić nie może, bo nie jest wstanie.

Zdaje się że to niesłychanie ciekawa kwestja, jakim sposobem nagromadzona przeszło czteromiljonowa ludność, może być zaopatrzona co dzień w świeże mięso, jeżeli zważymy, iż wyżywienie półmiljonowej armji, należy do najtrudniejszych zadań wojny.

Wszystkie wielkie rzeczy, dla tego że wielkie, muszą być proste i naturalne. Prostota jest przymiotem wielkości, naturalność podstawą prawdy.

Na przecięciu czterech podziemnych linji kolei żelaznych, w środku Londynu, stoi majestatycznie ze szkła i żelaza zbudowana olbrzymia halla w stylu włoskim, wyłącznie przeznaczona na skład i przedaż mięsa. Rano przed świtem, lokomotywy ciągną setki wagonów pełno wyprawionych już sztuk bydła, przybyłych z okolic Londynu, całej Anglji, nareszcie z kontynentu. Podziemnemi otworami dostają się wprost do halli — dla nabywców *en gros*, a ci dopiero odprzedają cząstkowym przekupniom, nabywającym po kilkanaście lub kilka sztuk, którzy znowu odstępują zapasy krając na ćwierci, tak nazwanym butikierom, stykającym się bezpośrednio z konsumentami. Wozy i wózki zalegające plac halli rozwożą mięso po mieście do pomniejszych składów i sklepów; tę samą usługę oddają koleje W dwie godziny cała czynność jest załatwiona, tak, że już o godzinie 7ej rano świeże mięso czeka na dobre apetyty angielskie. Dżentelmeni wychodząc rano do City, do ofisów (biur) lub w interesach, mogą przy herbacie zjeść kawał rozbifu a stik, kotlet zaś obłożony chlebem schować do torebki, o czem w ogólności nie zapominają.

Pracować jak wół, a jeść jak koń... Co za niefortunne a nawet gminne porównanie! Kto inny nie omieszkałby napisać: pracować jak Syzyf, jeść zaś jak Vitelius cesarz rzymski, krótkotrwały pan świata. Co do mnie, muszę wyznać że klasyczne to porównanie nie byłoby właściwe tu nie ma ani pracy Danaid, ani syzyfowej — tu jest praca przedewszystkiem produkcyjna i jeżeliby kto chciał śledzić postęp, który budując na tem co już jest zbudowane, wznosi się w nieskończoność — i jeżliby pragnął nauczyć się jak można korzystać z czasu, miejsca i okoliczności, aby czas pomnożyć przez pracę, pracę zaś rozdrobnić, aby pomnożyć czas, a wszystkiego tego dokonać bez niczyjej opieki, protekcji, bez pomocy rządu, ten niech przyjedzie tu, patrzy, słucha, a zebrawszy co się da, niech wraca do swojej ojczyzny, nie żeby głosić wielkie idee, lecz aby w pracy być przykładem. Pokrwawi on sobie ręce z początku uderzając o obojętność i niechęć, często złą wolę, najczęściej zazdrość, lecz byle jednę drogę zbudował, jeden budynek postawił, a praca jego będąca z początku przykładem tylko, stanie się później źródłem odrodzenia. Należy jednak albo, zwyciężyć, albo wcale nie zaczynać, aby usiłowania nasze, nie świeciły zawsze pomnikami ruin i dobrych chęci.

Anglik długo się namyśla i dobrze siły oblicza, zanim cokolwiek rozpocznie, zanim przyłoży rękę do dzieła. Lecz gdy raz postanowi, nie cofnie się; nie ma trudności, którejby nie usiłował zwyciężyć, nie ma ofiary, którejby nie poniósł. Dzieła też Anglji, tak pojedyńczych ludzi, jak wielkich przedsięwzięć, rzadko kiedy upadają, i to jest główną podstawą charakteru angielskiego.

Anglik jest śmiały, przedsiębiorczy i wytrwały — ciska się jak wąż, idąc naprzód, chociażby w prostopadłej skale wypadło nożykiem schody wykuwać. Niemiec ostrożny, ale cierpliwy, napada na jednego, gdy jest w dziesięciu; woli on bezpiecznie obchodzić w około przez rok cały, aniżeli odbyć tę drogę w dniu jednym narażając się na niebezpieczeństwo. Polak uderza w jednego na dziesięciu i często udą mu się pobić, po czem

obejrzawszy się w około, niewiedząc co robić dalej, ucieka.

Proszę mnie nie posądzać o chęć dawania memu narodowi nauk moralnych, jednak mówiąc prawdę, zaglądnąwszy w nasze dzieje przypomniemy sobie, jakeśmy pięknie wytłukli Niemców pod Grunwaldem i do domu uciekli, wieleż razy pobiliśmy Moskali, nawet hulali w matuszce Moskwie i wrócili, jak przyszli, nie mówiąc już o Turkach i Tatarach, nie drażniąc świeżych wspomnień kampanją 31go roku....

Cytować fakta, to nie moralizować; fakta, to dzieje, a dzieje to przeszłość ulepiona z krwi i łez, rozumu i ambicji—poświęcenia i pragnień, wytrwałości i niechęci, zdrady i odstępstwa.... Gdy za dużo łez i westchnień, rozpływa się wszystko i gdzieś ulata w etery; gdy za mało krwi i wytrwałości, budowa pęka, rozpada się na części i sypie w gruzy...

Jak Anglik zawsze i wszędzie jest wytrwałym, niech na dowód posłuży fakt na pozór drobny, lecz zawsze charakterystyczny, zaczerpnięty z mych własnych wspomnień. Szliśmy ze Szwajcarji przez Mont-Blanc do Włoch, na dolinę Aosty, do konchy, utworzonej z Padu, Ticina, Addygi i Addy, na klasyczną ziemię walk, rozgrywających losy świata — i sztuki przodującej cywilizacji. Było nas czterech: dwóch Anglików, Francuz i ja... Wychodząc powiedzieliśmy sobie, że znajdziemy nową drogę przez olbrzyma gór europejskich, i w tym jeszcze roku wszyscy się pożenimy.

Niecierpliwy Francuz cofnął się nazajutrz; ja zostałem dla ocalenia honoru narodowego i przez osobistą ambicję; Anglicy zaś dla tego, że postanowili przejść i wyszukać nową drogę. Przez dziesięć dni tułaliśmy się po śniegach, gdy na dole lipcowe słońce świeciło; w końcu zabrakło nam żywności. Nareszcie, co za roskosz! na drugiej stronie Alp dobijamy do szałasu pasterza.... a chociaż z odziębienia mieliśmy rany w nogach, ręce zaś i uszy odmrożone — mimo to radość i duma ze zwycięztwa nie miały granic. Nowa droga oznaczona na mapie.

Co do kwestji ożenienia — jednemu z nas prowadziłem w tym roku młodą, piękną i zarumienioną miss do ołtarza. Na weselu pito zdrowie odważnych podróżników. Panna młoda z kieliszkiem w ręku zbliżyła się do mnie, a podając mi białą rączkę, rzekła: „Nie opuściłeś pan mego męża, którego wprawdzie nie znałam, gdy był w niebezpieczeństwie; naród do którego pan należysz, musi być szlachetnym—Francuz uciekł.“

— Niech żyje Polska! — zawołano—Francuzi uciekają! — „Panowie!—przerywam, podnosząc mój kieliszek — wznoszę toast na cześć narodu, który zwycięzkim marszem przeszedł Europę, głosząc zasady praw człowieka, a jeżeli uzurpacja jego została pokonaną, to tylko przez Anglików!“

Pomimo objadowej powagi entuzjazm był widoczny; młodzi wznosili toasta wolności, a starzy pili zdrowie Wellingtona.

Co do pozostałych romans jeszcze nieskończony. Na południowym stoku Alp, w okolicach wielkiego Gotharda, spotkałem wróżkę cygankę, która mi przepowiadając wielką przyszłość, radziła poślubić panienkę lekko utykającą na jedną nóżkę.

W rok później pokochałem Miss, Miss nie pokochała mnie. Tańczyliśmy walca na trzy pas, ja wzdychałem, a Miss się śmiała.

Był to poranek, Miss jechała konno, ja szedłem pieszo. Gdy w tem koń się zrywa, odsadza, unosi — biegnę... Szanuj przynajmniej tajemnicę serca, czy chcesz być plotkarzem własnych uczuć?... Cokolwiekbądź, Anglik dotrzymał i drugiej połowy przyrzeczenia, a ja nie, bom się dotąd nie ożenił.

Jeden ze znajomych zaproponował mi, żebym albo wypił z nim szklankę ponczu, którego skład niedawno wymyślił, albo się z nim boksował. Wybrałem rozumie się pierwsze; przyprawa była szczęśliwie ułożoną, głowa mi nieco cięży, lecz kto w sobotę wraca w nocy do domu z lekką głową, ten nie ma przyjaciół, nie ma stosunków, samotny żyje tylko dla siebie, ucieka od towarzystwa. Jakąż ma wartość taki człowiek na pustyni wśród ludzi? W Anglji jest się częstowanym i trzeba częstować chcąc żyć, być dobrze uważanym, robić interesa. Spać mi się chce, zasnę więc kamieniem, mogę to śmiało powiedzieć, nie bojąc się wymówek, zapomnienia, braku uprzejmości i pamięci. Są chwile w życiu.... Dobranoc.

II.

Poważny profesor zapytuje nagle przytomnego chłopca:

— Czego jest najwięcej w Anglji?

— Czego jest najwięcej w Anglji?—najwięcej w Anglji proszę pana profesora, jest szynków i kościołów, — odpowiada malec rezolutnie.

Powaga profesora została zachwianą a ścisłość naukowa kazała ten fakt sprawdzić. Oblicza więc profesor wiele razy był w szynku a wiele w kościele i w innych miejscach, chwieje się w swych przekonaniach, a nie mogąc wybrnąć, używa fortelu, rzucając jeszcze jedno pytanie:

— A o szkołach zapomniałeś?

— Szkoły, proszę pana profesora, dopiero za ostatnich rządów Wigów, pod przewodnictwem Gladstona wzrosły w dwójnasób. Thorysi dla oświaty nic nie zrobili, zostawiając naukę wolności i księżom. Thorysi są niegodni.

Pan profesor niestety był thorysem.

— A ty kto jesteś, zawołał cały zaczerwieniony.

— Ja jestem wig i mój ojciec należy do wigów i mój dziadek wig.

— A czy wiesz, jak jest *accusativum* od *asinus?*

— Mogę nie wiedzieć, a jednak być uczciwym wigiem i nie powiem czy wiem, bo pan profesor chcesz mnie sprowokować.

— To wyjdź za drzwi! — krzyknął profesor wściekły.

— Wigi nie wychodzą, ale thorysi wyjdą nie długo.

Tego było za wiele; wezwano pomocy i zamknięto chłopca do kozy.

Po lekcyi, pan profesor zadowolony, że jednego niebezpiecznego wiga uczynił nieszkodliwym choć na parę godzin, zbliża się do wizyterki, chcąc przez nią zobaczyć, co mały zbrodniarz porabia. Zaledwo jednak okienko otworzył, ręka chłopca wydobywa się szybko, chwytając thorysowski nos.

Książka i parasol wypadają z rąk profesorskich. Oburzony tem zuchwalstwem przebrzydłych wigów rzucających się na prawa, porządek i kościół i poważny jego nos, — drzwi szybko odmyka. Mały zbrodniarz czekał na tę chwilę przyczajony do ziemi, a gdy profesor szukał chłopca na wysokości jego wzrostu, on jak zając wypadł mu z pod nóg.

— Ojcze wigów mordują! - woła wbiegając do domu zdyszany.

— Wigów mordują? — powtarza ojciec zawijając rękawy do boksów.

Całe zajście skończyło się uściskiem syna przez ojca, za zwycięztwo nad thorysami i przeniesieniem chłopca do szkoły zostającej przeważnie pod kierownictwem wigów.

Przytomny i rezolutny malec wypowiedział całą prawdę, o czem możemy się przekonać oglądając nowobudujące się miejscowości w Londynie.

Londyn ma kolosalną przestrzeń i jest nadzieja, że jeżeli będzie tak dalej wzrastał w stosunku do ludności — z czasem dosięgnie Duwru, Bostonu, Manchestru. Ziemi nie żałują.

Kilku przedsiębiorców obiera pewną przestrzeń przytykającą do miasta, zakupując lub wydzierżawiając jeżeli to jest własność Lorda. Oznaczywszy główną ulicę, która się nazywa *Road*, łączą z nią poprzeczne i prostopadłe *Street* — zwożą materjał, zakładają koleje jako komunikacje przyspieszające pracę — i w przeciągu czterech, a najdalej 6ciu miesięcy — całe partje czyli określoną część obudowują odrazu.

Ulice są zwykle ścieśnięte, zabudowane albo szeregiem domów o dwóch oknach, albo domkami jednopiętrowemi które złączone po dwa tworzą odrębne grupy.

Zieloność wszędzie: od frontu drzewa i klomby kwiatów, — z drugiej strony ogródki gospodarskie przegrodzone jedne od drugich murem, na szerokość domu, czyli na szerokość dwóch okien.

Przypominamy sobie jeszcze ze wspomnień starożytnego Rzymu, zaniedbanie na ulicach, wygodę i zbytek w domu, przepych w łazienkach, a wspaniałość na placach i w senacie. — Narody żyjące politycznie i publicznie, chociaż pragną okazałych miejsc gdzie walczą, zawsze jednak tęsknią do zacisza domowego, do wygody i przyjemności w chwili wypoczynku. — To samo można powiedzieć o naszych Bretonach. Anglik walczy w parlamencie i na mityngach, bawi się lub rozprawia w klubach, ale za to odpoczywa, rozkoszy rodzinnego pożycia i ciepła domowego ogniska używając we własnym tylko domu. Dom jego to świątynia, do której zaledwie wybranym wejść wolno.

Każdy dom, to jedno oddzielne mieszkanie, jednej rodziny, składa się z kuchni i jadalnego pokoju w suterenach, z dwóch pokojów na dole, z salonu i gabinetu na pierwszem piętrze — jak również z dwóch pokoików na drugiem, a często i na trzeciem. Schody wewnątrz stanowią komunikację; dywany są pierwszem niezbędnem umeblowaniem, kąpiel obok pokoju sypialnego, a w każdym pokoju kominek, od końca września do kwietnia zniczowym ogniem świecący.

Lecz jakże można tak odbiegać od przedmiotu... a gdzież są kościoły i owe budynki pobudzające do animuszu naszych wyspiarzy o których wielkiej liczbie mówił chłopiec rezolutny? Wszak zaczynam być rozwlekły, a to ponoś nie estetycznie... Gdybym miał farby Murylla, a fantazję Słowackiego, kilkoma wierszami skreśliłbym obraz, który skończoną całością nieskończonej piękności, budziłby pragnienie oglądania Anglji, pozwalając domarzyć, czego nie wypowiedziało zbyt krótkie słowo. Lecz czemu niemam ani żywych farb, ani skrzydeł fantazji? Dla czego mój mózg nie posiada tak ułożonych zwojów jak oni je mieli? Kto temu winien? Przypadek, odpowiadają z uśmiechem politowania p. Büchner i

poczciwy Darwin. Gdyby chciał przypadek, byłbyś pięknym jak Apollo, a wielkim jak Cezar.... Jeżeli więc w wypadku jest zamknięta tajemnica istnienia świata, jeżeli zamiast dowcipu wypadek dał mej głowie niespokojność myśli, która mi każe rwać w kawały moje opowiadanie, to rzucam te porwane strzępy wołając: nie, jam nie winien, ale wypadek układu świata i mych zwojów mózgowych! Bierzcie, co mam, lub podrzyjcie do reszty.

Wspomnieć o Büchnerze przy budowie kościołów, a nie przeżegnać się, gdy się jest katolikiem, i nie przytoczyć przekleństwa ze starego testamentu, gdy się należy do prezbiterjanów, jest zaiste zuchwalstwem godnem dziewiętnastego wieku i kontynentu. Inaczej dzieje się u nas na prawowiernej wyspie. Zaledwo wzniesie się kilka nie wielkich ulic, zaraz w pośrodku dźwiga się gmach dla Boga anglikańskiego, obok zaś dostatnie mieszkanie dla pastora. — Jeżeli w spólce, budującej ulice, znajduje się prezbiterjanin, przybywa kaplica tegoż wyznania, a jeżeli jest i kongregacionalista, który ma sperandę na swoich współwyznawców, to w takim razie i on stawia swemu Bogu przybytek. Mynystrowie obsługujący kaplice jako nie protegowani przez rząd, nie mają stałych schronień.

Obok bożych przybytków, z uwzględnieniem rogów ulic, mieszczą się pomniejsze sale, dość gustownie przybrane, otwarte z jednaką szczerością dla wszystkich wyznań, w których bez waśni w zgodzie sąsiedzkiej — widzisz jak *brendy* obok *wisky*, — *staut* obok *pelell*, z chrześcijańską cierpliwością pastora i mynystrów, czekają na spragnione gardła lokatorów pustych jeszcze ulic. Mamy więc i szynki. A szkoła? ho! ho! do szkoły jeszcze daleko..... Nie wiadomo wiele będzie dzieci, — kto dopomoże, wiele da rząd. A jednak dzieci muszą się teraz uczyć; — przymusowe nauczanie przeprowadzone w ostatnich zaledwo latach, to wielka zasługa Gladstona, — to niespożyty dla niego pomnik, to wielki fakt, który odrodzi Anglję, — zatrze bijącą różnicę kast, wyzwoli lud z niewoli zaniedbania, odrętwienia i dzikich instynktów, tak jak już został wyzwolony — ze zbytku pracy, zabijającej jego umysł i siły.

(C. d. n.)

STUDJA O SZTUCE W POLSCE
ZA DNI NASZYCH

skreślił

JÓZEF ROGOSZ (AJO.)

Słowo wstępne.

Od lat kilku, a mianowicie od ostatniej wystawy paryskiej z r. 1867, wszyscy bezstronni krytycy zagraniczni przyznają, że w Polsce zakwitła sztuka w sposób nadzwyczajny, a przytem samodzielny, tak dalece, że już dziś można mówić o odrębnej szkole polskiej. Niedawno temu jeden z estetyków wiedeńskich, zentuzjazmowany pracami młodych naszych artystów, nie lękał się nawet wypowiedzieć językiem swoich ziomków, których rasowa niechęć niezbyt przychylnie ku nam usposabia, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, malarze polscy odziedziczą palmę pierwszeństwa po starych mistrzach włoskich. Czy pochlebne to słowo stanie się ciałem — czas dopiero okaże. Co do nas, nie zapalając się przedwcześnie tyle tylko wiemy, że Artur Grottger i Jan Matejko zajęli pierwszorzędne stanowiska na widowni sztuki europejskiej, że każdy dzień przynosi nam nowe talenta, z których kto wie czy się nie wytworzą jeszcze więksi mistrze jak obaj poprzedni — słowem, że mamy sztukę własną.

Smutno atoli wyznać, że do tego poznania przyszliśmy dopiero wtedy, gdy cudzoziemcy ocenili prace naszych artystów, z czego gorzka prawda wypływa, że jak nie umiemy poznawać naszych wad, tak również nie widzimy prawdziwych naszych zalet.

Ale w tym wypadku czy mogło być inaczej? Jakże tu było uwierzyć w istnienie polskiej sztuki, kiedy dla jej wzrostu i rozwoju nie uczyniło się nic, i dziś jeszcze prawie nic się nie czyni, kiedy zamiast wyszukiwać i wspierać młode talenta, obojętnością naszą zniechęcaliśmy je a często nawet łamali — kiedy ogół do niedawna jeszcze o malarstwie najmniejszego nie miał wyobrażenia, kiedy nareszcie p. Juljan Klaczko przed laty kilkunastu tak jasno udowodnił, że Polska własnej sztuki mieć nie może!

A tymczasem stało się bez nas i wbrew twierdzeniu p. Klaczki. Bez naszego współudziału, bez zachęty z naszej strony, wśród ogólnej obojętności dla piękna uprzytomnionego rysunkiem i kolorytem, powstały talenta, które wywalczywszy sobie uznanie w całym świecie cywilizowanym, użyczyły nowego blasku naszej ojczyźnie. Zdobyliśmy nowe stanowisko na obszernem polu cywilizacji, bo w łonie Polski dotąd nieprzeżytej drzymie geniusz, który budząc się z ospałości wśród wielkich katastrof, wydaje genialnych wodzów, poetów i artystów.

Zanim przystąpię do szczegółowego ocenienia prac Artura Grottgera i Jana Matejki, których historja nazwie z czasem ojcami sztuki polskiej, postaram się wyjaśnić dla czego do dni naszych nie mieliśmy sztuki, i co się przyczyniło do teraźniejszego jej wzrostu.

Sztuka, to cudowny kwiat południowy, który pod mglistem niebem północy, wśród lodów i śniegów nie wzrośnie bez posiewu. Posiewem są dla niej wzory klasyczne a tych nie mieliśmy w Polsce. Flamandczycy, Niemcy i Francuzi kształcili się na wzorach włoskich, — Włosi na greckich, Grecy zaczerpnęli pierwszych wiadomości o rysunku i kolorycie u Egipcjan, a ci znowu według wszelkiego prawdopodobieństwa przechowali tradycję sztuki głębokiego Wschodu. Tysiące lat składało się na Wenus z Milo i Apollina Belwederskiego — dwa skończone ideały piękna cielesnego, — drugie tysiące upłynęły, zanim pojawiły się Madonny Rafaela i olbrzymie dzieła Michała-Anioła, — skończone ideały duchowe w harmonijnem połączeniu z cielesnemi, — a od tego czasu ludzkość potrzebowała znowu długich wieków, zanim za dni naszych zbliżyła się przynajmniej pod względem rysunku i kolorytu do starych mistrzów włoskich. Okazuje się z tego, że aby dojść do ideału, człowiek potrzebuje pracować tysiące lat. Najpierw zaczyna od niewolniczego naśladowania natury, i dopiero pokonawszy tę trudność, sięga w dziedzinę ideału, który jest celem prawdziwej sztuki. Chińczycy, którzy wyrabiali się samodzielnie, bez wzorów, od niepamiętnych czasów wybornie naturę naśladują; na ich malowidłach z wyjątkiem perspektywy powietrznej, której jeszcze nie umieją, wszystko inne czego technika uczy jest wzorowe, — a mimo to może nigdy nie staną na wysokości ideału, jeżeli egoistycznie zamknięci w sobie nie zbliżą się do cywilizacji europejskiej. Nie każdy naród może być w sztuce tak szczęśliwym jak Hellada. Jeden stworzył prawodawstwo, drugi kazał ziemi wirować, trzeci wynalazł proch, inne dokonały cudów w innych kierunkach wiedzy ludzkiej — ale jedna tylko Grecja stworzyła pierwszy ideał.

Michał-Anioł, ten największy genjusz artystyczny z epoki chrześciańskiej, tak studjował wzory greckie, i takim był dla nich przejęty pietyzmem, że gdy w termach Caracalli znaleziono Marsa Glycona bez nóg, a papież polecił mu, by kalece nogi przyprawił, Michał-Anioł zrazu wziął się ochoczo do dzieła, lecz gdy pracy dokonał, niezadowolony z niej i siebie, pogruchotał nogi wołając: „Człowiek nie może uzupełnić pracy bogów!“

Że bez wzorów sztuka nigdzie zakwitnąć nie może, dowodem na to pierwsze wieki panowania chrześcian w Rzymie. Nauczyciele wiary Chrystusowej wyszedłszy z katakomb i objąwszy w spuściźnie państwo Cezarów, kazali druzgotać posągi bogów, aby do szczętu zniszczyć wiarę pogan i nie obrażać widokiem nagich ciał nowej moralności. Tysiące rzeźb zginęło, reszta skryła się w ziemi i od tego czasu sztuka znikła z powierzchni świata. Powoli człowiek stracił tradycję prawdziwego piękna, ale że duch jego bezustannie domagał się pracy w tym kierunku, więc zaczynał studja od początku, od niewolniczego naśladownictwa natury i po długich latach doszedł nareszcie do czego? — do bizantyńskich bohomazów. Dopiero gdy papiezm nie mogąc dłużej powstrzymać porywającego go prądu, pogodził się z nowym kierunkiem, gdy stare rzeźby wykopano z ziemi i przeczytano greckie traktaty o pięknie — dopiero wtedy sztuka we Włoszech na nowo zakwitła.

Za obszernie może rozpisałem się o potrzebie wpatrywania się we wzory klasyczne, ale nie czynię tego bez powodu. Najpierw posłuży mi to w znacznej części do wyjaśnienia, dla czego w XVI stuleciu, gdy prawie w całej oświeconej wówczas Europie, sztuki piękne rozwijały się z mniejszem lub większem powodzeniem, my Polacy nie napotykamy ich ani śladu u siebie, chociaż osiągnęliśmy już wtedy dość wysoki stopień cywilizacji, — a powtóre, radbym przy tej sposobności na potrzebę studjowania mistrzów starożytnych zwrócić uwagę tych wszystkich artystów, którzy hołdując najnowszemu kierunkowi realistycznemu, sądzą w dobrej wierze, że genialny talent może się obejść bez wzorów, ponieważ snuje sam z siebie. W twierdzeniu tem jest nieco słuszności. Artysta genialny, a jeszcze więcej prawdziwy genjusz, idzie własną drogą i tworzy sam bez zewnętrznej pomocy; zkąd to pochodzi nikt dotąd nie wytłumaczył. Postać każdego geniuszu jest dla nas zagadkową, tak dalece, że byli nawet filozofowie którzy utrzymywali, że geniusz nie jest człowiekiem całkiem zdrowym i przytomnym, ale jakąś istotą chorobliwą, cierpiącą na dodatnie hallucynacje umysłowe, która działa i tworzy nieświadomie, jakby pod wpływem drugiej siły niewidzialnej. Lecz co może geniusz, tego już nie dokaże człowiek genialny, a tem mniej człowiek obdarzony talentem. Między żyjącymi artystami polskimi, mamy jednego prawdziwego genialnego, Jana Matejkę. Nie studjował on długo mistrzów starożytnych, nie wmyślał się w ich treść, widocznie ich unika, lecz czy to bezwzględnie wyszło na pożytek sztuki naszej, później zobaczymy. Genjusz i genialny dokażą sami wielkich rzeczy, ale utalentowani, pozostawieni własnym siłom, zmarnują się i zginą. Dla czegóż nie korzystać z tego

co wieki przyniosły? Dlaczego nie zgłębić tego co już jest, aby tem łatwiej pójść dalej? Jakżeżby wyglądał ten wódz, który mając wyruszyć na nieprzyjaciela, oświadczyłby swoim oficerom, że wpierw musi proch wynaleźć i całą taktykę wojenną ułożyć, ponieważ chcąc być samodzielnym, nie myśli korzystać z doświadczeń swoich poprzedników? Wierzę że geniusz mógłby sobie sam zrobić farby i nie widząc przedtem żadnego malowidła stworzyć wielkie arcydzieło, ale to tylko genjusz, a tych tak mało! Prócz Michała-Anioła i Rafaela, w epoce chrześciańskiej nie widzimy ich więcej; inni to tylko genialni.

Jeżeli mówię o potrzebie studjowania wzorów klasycznych, wcale przez to nie chcę powiedzieć, żeby naśladowanie mistrzów starożytnych było koniecznem dla artysty nowoczesnego. Między studjowaniem a naśladowaniem wielka zachodzi różnica. Mickiewicz wczytywał się w dzieła klasyczne, a mimo to w Panu Tadeuszu nie naśladował ani Homera ani Wirgilego. Od starożytnych nauczył on się tylko wdzięcznej prostoty— spokoju niezbędnego dla każdego dzieła prawdziwie skończonego i harmonii przy zestawianiu pojedyńczych scen i osobistości, z czego wypływa całość zaokrąglona. Słowem, klasycy uczą nas dobrego smaku. Artysta nauczy się od nich harmonji w kompozycji, pojęcia o prawdziwym ideale, a w dodatku jeszcze skończonej techniki. Zbrojny w te zdobycze, może potem iść za popędem własnego natchnienia, drogą samodzielną, oryginalną i nie zejdzie więcej na manowce. Jeżeli ich prześcignie, tem lepiej dla niego, narodu który go wydał i całej ludzkości.

Ale wróćmy do rzeczy.

W Polsce nie było tedy wzorów, na których by się kształcili ludzie obdarzeni talentem artystycznym. Żeśmy ich bardzo potrzebowali dowodem na to literatura nasza, która w XVI wieku nie byłaby tak wysoko stanęła, gdyby nie okoliczność, że wielu naszych ziomków zaczęło studjować starożytnych klasyków.

Obok braku wzorów, był u nas również brak opiekunów sztuki.

Panowie nasi prócz wojny i roli, prócz wystawnego życia i prawdziwie orjentalnego przepychu na zewnątrz, wyjątkowo lubili jeszcze tylko poezję i krasomowstwo. To też ludzi obdarzonych temi talentami wysyłali do Włoch na nauki, zkąd ci wracali jako wielcy poeci i mowcy znakomici. Nie rozumiejąc sztuki, nie wiedząc jak głośno świadczy ona o żywotności narodu, który ją posiada, uważali malarstwo, plastykę i budownictwo za trzy odrębne rzemiosła, bez których Polska w ich przekonaniu mogła się obejść. Inaczej postępowali magnaci zagraniczni. Tamci stawiali wspaniałe pałace, które potem zdobili posągami, freskami i olejnemi malowidłami, w licznych ich dworach widziano zawsze artystów, przy których kształcili się inni, młodsi, tworząc w ten sposób szkoły malarskie. Prócz magnatów kochających sztukę, zagranica miała także bogate miasta i zakony, które za przykładem pierwszych, stawiały okazałe gmachy municypalne, kościoły i cmentarze. Artyści mieli tam na każdym kroku pole do popisu, a współzawodnictwo wyrabiało ich z dniem każdym. U nas panowie nie rozumieli sztuki, miasta były biedne i zaludnione przeważnie obcokrajowcami, którzy przybyli dorabiać się chleba u nas, a klasztory, prócz jednych jezuitów, stały na dość niskim stopniu oświaty. Jezuici zaś zajmowali się głównie polityką i nawracaniem innowierców.

Gdyby więc Polska miała była opiekunów sztuki, to według wszelkiego prawdopodobieństwa, posiadalibyśmy oddawna znakomite okazy sztuki. W narodzie były zdolności w tym kierunku, bo są dziś; potrzeba tylko było zachęty ze strony możnych i wysyłania biednych rysowników za granicę na naukę. Tymczasem nie mając wzorów w domu własnym a nie mogąc ich oglądnąć w krajach o setki mil odległych, talenta ginęły, a jeżli który nie mógł się oprzeć wewnętrznemu pragnieniu, zrażony obojętnością swoich, szedł do obcych aby u nich dorabiać się sławy. Czy wystarczy, jeżli przytoczę nazwisko Wita Stwosza?

Trzecim, najważniejszym powodem tamującym rozwój sztuki w Polsce, był brak stanu średniego. Jak z jednej strony historja udowodniła, że gdybyśmy byli mieli liczne miasta zamieszkałe przez zamożne i rodzime mieszczaństwo, Polska nie byłaby runęła politycznie — tak z drugiej znowu strony nie będę marzycielem, przypuszczając, że z łona tego mieszczaństwa byliby powstali znakomici artyści. Polska myśląca i działająca, (stan włościański jako biedy i zupełnie ciemny nie wchodzi tu w rachubę) była na wskróś arystokratyczną. Arystokrację składali panowie i szlachta mająca wszystkie pragnienia panów. Człowiek dąży wszędzie do panowania nad drugim: jeden politycznie drugi duchowo. W tem dążeniu spoczywa jego siła dodatnia, bez której nie byłoby ruchu, życia, postępu. Arystokracja całego świata, mając majątek i wyższe stanowisko społeczne, nie dbała nigdy o wyższość duchową; ona zawsze i wszędzie dążyła do przewagi politycznej. Dla tego arystokracja wydaje tylko wielkich wodzów i polityków, przy pomocy których może nad innymi panować. Panowie polscy wojowali przeto i politykowali — a za ich przykładem szedł cały ogół szlachty.

Stan średni, dążąc także do przewagi, a widząc pierwsze miejsce zajęte przez tych, których urodzenie postawiło na najwyższym szczeblu społeczeństwa — znalazł drogę drugą, duchową, na której chce zajaśnieć i zapanować. Ztąd pochodzi, że wszyscy wielcy myśliciele, poeci i artyści pochodzili zawsze i wszędzie ze stanu średniego. Spojrzyjmy w dzieje cywilizacji ludzkości, a przekonamy się, że panów oddających się li pracy umysłowej, przynoszącej zamiast blasku zewnętrznego, jedynie zadowolenie wewnętrzne, i z dobywających na tem polu wybitne stanowisko, jest tak mało, że ich prawie na palcach możnaby policzyć.

Jak bez wzorów klasycznych w Polsce samej, ludzie czujący zamiłowanie do sztuki mogli się obejść, gdyby byli znaleźli opiekunów, wysyłających młode talenta za granicę, gdzie były wzory i szkoły malarskie — tak również sztuka mogła zakwitnąć bez wzorów i bez opiekunów, gdybyśmy byli mieli wcześniej liczny stan średni. Nie jeden bogaty mieszczanin byłby dobrowolnie wysłał swego syna w świat na naukę, nie jeden młody człowiek czujący w sobie iskrę boskiego ognia, a osiągnąwszy wyższy już stopień wychowania i wykształcenia niż prosty wieśniak, byłby sam w świat się rzucił, aby z powrotem w zamożnym domu rodzica-mieszczanina zajaśnieć świetnemi dzieły.

Nie mieliśmy więc sztuki, bośmy nie mieli wzorów, opiekunów i stanu średniego. Pomniejsze prace pojawiały się wprawdzie w różnych czasach i miejscowościach, niektóre zamki i kościoły przechowały ślady polskiego pędzla, ale są to prace tak drobne, tak nieznaczne, że wspomnieć o nich wolno chyba w bardzo wyczerpującej historji sztuki, którą dopiero wtedy będzie można spisać, gdy sztuka polska przebiegnie pierwszy swój okres.

Z początkiem bieżącego stulecia stosunki nasze zaczęły się zmieniać. Od politycznego upadku Polski datuje się upadek możnowładztwa; szlachta naśladuje coraz mniej panów, gdyż ubożejąc nie może im dorównać w zbytku, a panowie ze swej strony nie ciągną jej ku sobie, bo już nie ma sejmików i elekcji intratnych; miasta zaludniają się wybrańcami z ludu i szlachtą biedniejszą — słowem inteligencja stanu średniego wzrasta i tworzy nową warstwę społeczną. Dzięki temu zwrotowi, powstają liczne szkoły, z których wychodzą ludzie nauki.

Nadchodzi walka o niepodległość w r. 1831. Kraj cały podnosi się z chwilowego uśpienia, a gdy bój ustał, zbudzony genjusz narodu wydaje całą plejadę wielkich poetów. I wszyscy z nich należą do inteligencji stanu średniego, z wyjątkiem jednego Zygmunta Krasińskiego.

Nadeszły czasy pozornej obojętności — ale w głębi narodu praca nie ustaje; stan średni z każdym dniem się wzmaga. Tymczasem pojawiają się koleje żelazne, ułatwiające najmniej zamożnemu zwiedzenie obcych krajów. Jadą więc młodzi ludzie, czujący zamiłowanie do sztuki, do Niemiec, Włoch i Francji, wpatrują się we wzory starych mistrzów, świeżo założone szkoły sztuk pięknych w Krakowie i Warszawie liczą gorliwych uczniów, zdolnych artystów pojawia się coraz więcej, a gdy nastąpiła druga katastrofa, drugie powszechne wstrząśnienie w r. 1863. drzemiący genjusz narodu budzi się po raz drugi i wydaje nowych mistrzów. Rok 1831 dał mistrzów słowa, r. 1863 mistrzów pędzla. Mamy więc malarzy a wszystkich ze stanu średniego.

Ułatwione komunikacje zapoznały nas z klasycznemi wzorami, stan średni dostarczył ludzi pragnących oddać się sztuce, a towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych przynajmniej w części zastąpiły opiekunów. Nie chcę atoli przez to powiedzieć, żeśmy dla sztuki wszystko już uczynili, cośmy uczynić byli powinni. Bynajmniej! Jako naród, mamy dla niej wielkie obowiązki, bo talenta przebijają się same, bez poparcia i opieki z naszej strony. Niemało jeszcze mamy do uczynienia — ale o tem pomówimy na innem miejscu.

Wyjaśniwszy dlaczego nie mieliśmy sztuki w dawnych czasach, i co się przyczyniło do teraźniejszego jej wzrostu, pytamy teraz dla czego ją mamy? Wszakże są narody, jak Ameryka północna, Anglia, Szwecja itd. które mają liczniejszy i bogatszy stan średni niż nasz, którym nie brak bogatych towarzystw, zamożnych miłośników, a nawet wzorów klasycznych we własnych muzeach, a mimo to nie wykazują na tem polu tak świetnych jak my rezultatów? Nie kuszę się odpowiedzieć dokładnie na to trudne pytanie. Wnioskować tylko mogę, że rasy germańska, romańska i saksońska widocznie się przeżyły, przyniósłszy ludzkości wszystko, co przynieść były powinne — i że kolej teraz na Polskę, jako najmłodszą i mającą najwięcej sił żywotnych. My, Polacy, mając na północy najwięcej rzeźkości i inicjatywy, możemy łatwo odegrać rolę pierwszorzędną. Dotychczasowa przeszłość nasza wykazuje, że w łonie polskiego narodu, drzymie genjusz nie pielęgnowany przez nikogo, który budzi się wśród wielkich wstrząśnień. Kto wie, jakie kształty przybierze nasz genjusz przy nowem wstrząśnieniu...

(C. d. n.)

Stara szabla.

Panu St. Suffczyńskiemu na pamiątkę.

Hej! gdzie polskie znoje, boje,
Gdzie błyszczący polski znak!
Gdzie skrzydlatych hufców woje,
Gdzie piastowski biały ptak!...
Dawna wiara jest w mogile,
A na grobach zielska nić,
Że zostało ledwo tyle,
Że jest jeszcze o czem śnić...
Że jest jeszcze o czem gwarzyć
Młodym wnukom w dolę złą;
Że jest za czemś płakać, marzyć,
I pocieszać się znów łzą...

* * *

Ot, pradziadów szabla stara,
Święty ich spuścizny dar;
Pomni turka i tatara,
Żółte wody, Chocim, Bar...
I wcześniejszy wiek potrosze,
Szczerbom na niej znany jest:
Szła z Tarnowskim na Wołoszę,
I u Orszy brała chrzest.
Złotem na niej głoski ryte,
Równy z szablą tworzą łuk;
Jak komenda krótko bite:
„Nad Ojczyzną tylko Bóg!“
A na drugiej kordu stronie,
Inne głoski biegą w ślad,
I w pół starty napis płonie:
Że po bitwie wróg — to brat!

* * *

Jak się w bruzdach czoła chowa,
Cały bieg człowieczych dni,
Tak i szabla pradziadowa
Ze szczerb, wszystko powie ci.
Patrz w tę szramę!.. Że się po niej
Kord nie rozpękł istny cud!
Silnem cięciem wryta dłoni,
U Kijowa złotych wrót!
A ta druga — we dwa pola
Wybieżała trzymać straż:
To pamiątka z Psiego pola,
Śmiało niemcom źrała w twarz!
A ta trzecia i ta czwarta,
Z pod Smoleńska przyszła bram...
Jak piorunem wpół rozdarta:
Snać, że gromy biły tam!
A już dalej szczerb bez miary,
A w nich krwawej pleśni znak,
Że nie pytać szabli starej,
Z kim walczyła — gdzie — i jak!

* * *

Dzisiaj, krwawy ten bóg wojny,
Świadek tylu pięknych dni,
Zapomniany i spokojny,
Cicho między zbroją — śpi.
Taki niby zadumany,
Bez pamięci i bez sił...
Lecz wyciągnij go ze ściany,
A opowie czem on był!
Dawną sławą się rozpali,
I w bojowy ozwie zgrzyt...
Lecz patrz! nowa rdza na stali:
To ją świeży wyżarł wstyd!

Wł. Bełza.

PAMIĘTNIKI z 1831 r.,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

W połowie kwietnia 1831 dostałem rozkaz stawienia się w głównym sztabie z przeznaczeniem na adjutanta przy generale.*) Pomimo kilkogodzinnego marszu, i fatygi zameldowałem się natychmiast po przybyciu na miejsce, komendantowi pułku naszego pułk: Wierzbickiemu. A że staliśmy blisko jakiegoś strumyka, więc kazawszy oporządzić konia i osiodłać go, przystąpiłem do toalety. Ogoliłem się, umyłem, ubrałem w huzarski żołnierski mundur, do którego przypiąwszy epolety, pożegnałem się z kolegami i ruszyłem do sztabu stojącego w Rudzienku, dobrach p. Swiniarskiego. Był tam domek porządny zajęty przez generała, szefa sztabu Brezę, kapitana kwatermistrzostwa Wolskiego, por: inżynierii Stanowolskiego, czterech adjutantów wraz ze mną, i siedmiu oficerów *d'ordonence;* konie zaś nasze, ludzie i pluton służbowy z czterech ułanów mieściło się w zabudowaniach gospodarskich bardzo porządnych z brukowanemi dziedzińcami, i ocembrowanemi kamieniem dołami — do składania wymiecisk stajennych.

*) Przez pamięć na nieżyjącego już autora, który cennej swej pracy nie mógł ostatecznie wygładzić — zachowujemy wszędzie styl i sposób wyrażania się jego bez zmiany. P. R.

Wspominam o nich, bo jeden z nich był powodem bardzo zabawnej sceny.

Zameldowawszy się Brezie z którym niegdyś byłem w Krzemieńcu, tylko że on kończył tamtejsze szkoły, kiedy ja dopiero do trzeciej klasy przybyłem, — sprawiłem mu się z mojej służby.

Brzeza, syn ministra z czasów ks. Warszaskiego, swoim nudnym zwyczajem ziewnął pary razy, przystąpił do mnie na swoich długich sztywnych nogach, pokazał mi drzwi prowadzące do generała, i kazał pójść zameldować mu się. Co gdy się stało, generał obejrzał mnie z zadowoleniem od stóp do głowy. *C'est bien allez vous faire inserire sur la liste de mes aides de camps,* — kiwnął głową a ja skłoniwszy się wyszedłem. — Breza kazał mnie umieścić na liście i dodał, że od jutra co drugi dzień, będę z drugim kolegą na służbie u generała, żeby zawsze koń był osiodłany; znowu ziewnął i usiadł, a ja poszedłem zapoznać się z memi nowemi kolegami. Znalazłem dwóch znajomych Hen. Fredrę i Nieminycza, którego znałem, bośmy poprzednio kolegowali ze sobą w pułku lubelskim. Mówił mi Fredro że moja bytność w sztabie spowodowała Generała, do natychmiastowego mianowania mię przez (szefa sztabu) na adjutanta przy sobie. Widział bowiem przez okno, i co mu się bardzo podobało, jakem w całym biegu konia zeskoczył żeby Fredrę uściskać, a potem bez pomocy strzemion nazad na konia wskoczył żeby zająć miejsce swoje w maszerującym pułku. Do tego przyczynił się nie mało mundur huzarski bardzo przez Generała lubiony—*„Qui est ce jeune husard?“* zapytał Henryka *„C'est mon meileur ami, qui m'a parlé avoir eu l'honneur de conaitre V. Ex. a Carlsbad“*

„Je donnai l'orde qu'il vienne et reste avec nous“ co też zaraz zrobił. Generał w wojsku x. warszawskiego komenderował pułkiem dziesiątym huzarów. Mały, zgrabny, doskonały jeździec ślicznie się znajdował na czele pułku i słynął zawsze z doskonałych koni, oraz porywczości bo cały półk drżał przed nim; — wielką miał jednak zaletę że choć czasem niesprawiedliwie złajał jakiego oficera, to nigdy tego nie pamiętał na drugi dzień, i nie szkodził nikomu; wielka to cnota u dowódcy.

Zapoznawszy się z kolegami, którzy mniej więcej byli tęgiemi i poczciwemi chłopcami, zapiliśmy trochę *in gratiam* mojego przybycia.

Oprócz Fredry, najwięcej miałem sympatyi do Kalksteina i razem stanowiliśmy nierozłączoną trójkę.

To też generał który zazwyczaj tych tylko do stołu swego zapraszał którzy na służbie byli, nas trzech raz na zawsze obowiązał, żebyśmy z nim jadali, bośmy go bawili.

Korpus nasz, stając przez cały Marzec i prawie pół Kwietnia, na błotach Podlaskich w słotę prawie nie ustającą, nadzwyczajnie ucierpiał. Pułki nasze szczególnie bardzo mizernie wyglądały; ciągłe małe utarczki, a na koniec cholera, nie powiem że dziesiątkowały ale o połowę zmniejszyły liczbę żołnieży.

Pułk Lubelski wyszedł z Lublina w sześć szwadronów i liczył 1200 ludzi oprócz oficerów; gdy nas zluzowano zabrakło siedemset. Plutony zamiast jak poprzednio co liczyły dwadzieściadwie roty, stopiły się na jedenaście koni. Oprócz pierwszego szwadronu co dostał od razu terlice, wszystkie zresztą inne były po większej części licho osiodłane. Żołnierz obdarty tak, że chcąc się nakryć, odziewał się mundurami poległych lub jeńców. — W takich to konjukturach wykonał ten pułk sławną szarzę, i rozbił kompletnie, w lesie między Stanisławowem a Okóniowem półk świeży huzarów Pawlogradzkich; gonił go przez półtorej mili i zabrał dużo niewolników, a co najlepsze, że sto kilkudziesiąt umontowanych koni podreperowało stan naszych poodzieranych i pomęczonych szkapiąt. Tak było i z innemi pułkami nowemi. Jak dalece stan nasz był pożałowania godnym, dowodzi najlepiej raport pułkownika Kosko, dowódcy jazdy Augustowskiej, który z nami jedną tworzy brygadę — do komisyi rządowej wojny podany. Oryginalny ten w swoim rodzaju raport brzmi jak następuje:

„Szkapy mego pułku są tak poodparzane, „że żaduch z ran nie da przystąpić do frontu. „Żołnierze siedzą bez spodniego ubrania*) na „siodłach ekonomskich. Płaszcze powypalane, „że zaledwie do szpencerów podobne; a gdyby „złożyć całe umundorowanie na kupę, toby „robactwo zaległe w nim zaprowadziły je do „Warszawy.“

Potrzeba wymagała reorganizacyi kompletnej całego korpusu.

Do pułku lubelskiego dodano dwa szwadroniki z pułku Kuszla, jeden szwadron krakusów ks. Poniatowskiego i jeden szwadron Kościuszki; razem to wzięte wynosiło ośmset ludzi. Pułkownik Jaraczewski, któren w szarzy na huzarów miał zabitego czy skaleczonego pod sobą konia, co z nim na czele pułku padł, a dwa szwadrony w biegu szalonym przelatując podeptały go, został w Warszawie dla kuracji. Przyszedłszy do sił i zdrowia, wydobył z komór moskiewskich Gwardyjskich mundury huzarów gwardii Grodzińskiej, a zniosłszy się z pułkownikiem Kosko i Niegolewskim, podzielił się z niemi następującemi rekwizytami wojskowemi.

Jaraczewski wziął dołmany i amarantowe spodnie (z których później porobiono furażerki) *Kosko* musztuki i kaszkiety, a *Niegolewski* kibiki stajenne i płaszcze. I tak zapasami jednego pułku gwardji, trzy nasze się wzbogaciły.

Dostał przy tem lubelski pułk z arsenału nowe lance ze świeżemi chorągiewkami jednem słowem, potem przebraniu się, żołnierze lubelskiej jazdy takiej gęstej nabrali miny i takiej fantazyi, że nie można ich było poznać. Niedawne laury i krzyże błyszczące na piersiach oficerów i żołnierskich mundurach, oraz nowy piękny moderunek, przyczynił się nie mało do tej metamorfozy.

Cały ten czas był de fakto zawiszeniem broni, bo i my i moskale potrzebowali wypoczynku

*) W raporcie ustęp ten brzmi zbyt drastycznie. Ze względów estetycznych zmuszeni byliśmy go zmodyfikować. P. R.

i reorganizacji — Dybicz okopał się w Siutny i w tem *Camp rètranché* stał spokojnie.

Zaczęła się reorganizacja w naszym korpusie; zabrano nam pułk piąty-liniowy i obydwa bataliony strzelców Kuszla i Grotusa oraz pułk pierwszy ułanów przeznaczony z Chłapowskim i masą oficerów do formacji nowej na Litwie. — Składał się tedy tak zreorganizowany korpus z pułku grenadierów gwardji pułkownika Bielińskiego, z trzeciego liniowego strzelców półkownika Szmigielskiego i piętnastego pułku liniowego półkownika Łępickiego i inszych parę batalionów nowszych formacji, których nazwisk zapomniałem. — Dywizją dowodził gen. *Milberg*. Śmiały on był i odważny w ogniu, ale huk dział tak wpływał na jego nerwy, że przez cały czas boju łzy gęstemi kroplami spływały mu po twarzy i mundurze. Brygadami dowodzili generałowie Andrychiewicz i Wroniecki. Jazda złożona była z pułku czwartego ułanów, trzeciego strzelców konnych półkownika Rupiana, z pułku lubelskiej jazdy pułkownika Wierzbickiego, pułku Augustowskiej jazdy pułkownika Kosko, i trzech szwadronów pułku sandomirskiego pułkownika Niegolewskiego.

Jazdą dowodził jenerał dywizji Tomicki, a brygadami generałowie Bukowski i Miller.

Najstarszym adjutantem i komendantem oficerów do sztabu należących był p. półkownik *Kotkowski*, któren po wymaszerowaniu na Litwę pierwszego pułku ułanów, przeznaczony został ze szwadronem zakładowym tegoż pułku, do formowania nowego pierwszego pułku ułanów; w krótce trzy szwadrony stanęło pod bronią złożone po większej części z wracających rozbitków Dwernickiego i z lazaretów, samych starych żołnierzy. Po Kotkowskim nastąpił major *Stelbich*, poznańczyk, dawny oficer, a w czasie pokoju plenipotent generała Umińskiego.

Artyleryja korpusu składała się:

1) Z batary lekkiej pieszej — dwanaście dział pod pułkownikiem Jaszowskim;

2) z bateryi lekko konnej — dwanaście dział pod wodzą kapitana Lewandowskiego;

3) z baterji pozycyjnej pieszej — dwanaście dział pod Majorem Rzepukim.

Nowe pułki przez czas tego niby zawieszenia broni ciągle się w mustrze ćwiczyły.

Naczelny wódz przeniósł swą główną kwaterę do Miłosny, koło której cała główna armia koncentrowała się. Zanosiło się jakieśmy przeczuwali na jakiś ruch, ale nikt z nas niczego się dowiedzieć nie mógł; jeśli któren z ciekawych udał się do szefa sztabu, to ten tylko ziewać zaczął, obracał się tyłem i na tem się skończyło.

Pewnego poranku pierwszych dni maja, zawołał Umiński do siebie Henryka Fredrę któren był na służbie; daje mu jakąś grubą depeszę. „*Voilá une depèche de grande importence, je compte sur vôtre z'ile qu'elle sera rendue et que j'aurai une reponse le plutôt possible*“, a dobywając zegarek „*Voilà, il est 9 heures, vous avez deux heures pour ariver, et autant pour revenir, je vous acorde encore deux heures pour avoir la réponse, en tout 6 heures*“ obrócił się i poszedł do swego pokoju. — Henryk siadł na konia i pojechał spiesznie. — Trzeba wiedzieć, że Henryk nie tęgi kawalerzysta, wyjeżdzając do Polski nie trzymał koni wierzchowych, oglądał się więc za nimi. Kuzyn jego p. hr. Konarski mający stado odstąpił mu z przyjaźni i kuzynowskiego afektu za gotowych osiemdziesiąt dukatów klacz gniadą, ładną i bardzo pokaźną, ale narowistą w najwyższy sposób. Na niej pojechał na tę misją. Stanął szczęśliwie rychlej niż w dwóch godzinach w gł. kwaterze; prosi, żeby zameldowano go do naczelnego wodza.— Adjutanci od niechcenia powiadają mu, że teraz nie można mówić z naczelnym wodzem, bo ma konferencję z p. referendarzem Horodyskim. Henryk, który nic więcej nad to się dowiedzieć nie mógł — chodzi niespokojny, znowu łapie jakiegoś adjutanta i powiada, że ma bardzo ważną i pilną depeszę do generała, „Ah ba! rzeknie z uśmiechem adjutant „*je voit d'ici comme vôtre satrape doit*“ kiwnął głową i zniknął; Henryk chodzi jak na szpilkach. — Kto widział sztab i ustrój jego przy Skrzyneckim, ten sobie przypomni jak trudno było do naczelnego wodza się dostać, i jak lekceważono depesze chociaż najważniejsze generałów co nie byli faworytami —a tu czas upływał— dano obiad dla naczelnego wodza i znowu dostać się do niego nie było można, sam się nie pokazywał a świta nie puszczała. Tak minęły cztery godziny. (C. d. n.)

POGADANKI.

I.

Możemy to uważać jako dobrą dla *Tygodnia* wróżbę, że nim się jeszcze urodził, już zwrócił na siebie uwagę *Przeglądu Lwowskiego*, i to uwagę niechętną. Powiedział bowiem poeta, że ciemne żywioły zniszczenia nienawidzą utworu ludzkiej ręki, a ponieważ, wygnane z Łysej Góry, gdzie pomagały czarownicom wyprawiać piekielne hecki, żywioły te obrały sobie siedlisko w ulicy Jagiellońskiej we Lwowie, z główną kwaterą w drukarni *Przeglądu Lwowskiego*, więc objawiona przedwcześnie nienawiść tego szanownego organu nader pochlebnie może być tłumaczoną dla nowo powstającego pisma. Życzyć mu tylko mogę, aby w istocie było utworem ludzkiej ręki, godnym tej nienawiści. — Niechaj więc stanie, jak latarnia morska, o której granitowe podnóże rozbija się bezsilna wściekłość bałwanów, podczas gdy wichry daremnie szamocą się z jej żelaznem wiązaniem, a piorun bez szkody dla gmachu ślizga się po franklinowym druci: i wraz z rozgłośną klątwą złowrogich chmur, tonie w słonej fali! Podwaliną z granitu niechaj będzie niezłomny, nieubłagany pan świata— rozum; żelaznem wiązaniem miłość prawdy, dobra i piękna, z której łona wbrew chmurom i burzom tryskają w dal zbawcze promienie światła; konduktor zaś na pioruny znajdzie się w odwiecznym ich wrogu, który je wyzywa, i przyciąga, i żartuje potem z ich niemocy; wrogiem tym jest dobry humor. Radbym, aby mi się udało ulepić mu gniazdko w „Pogadankach“, w któremby czasem przebywał, a ta dobra chęć moja niechaj służy za program tym artykułom, poświęconym rozprawianiu o wszystkiem i o niczem.

* * *

Dziś wypadnie nam rozprawiać „o niczem“, bo sezon kwaśno-ogórkowy w tym roku mocniej, niż kiedykolwiek, upomniał się o swoje prawa i wypędził „wszystko“ z miasta. Łatwo sobie wyobrazić, jakie to mogło mieć skutki w miastach, w których właściwie zawsze „wszystkiego“ brakuje, i w których rozsiadło się i rozpanoszyło wielkie, kolosalne „nic“. Muzy ukrywają się przed skwarem, gdzieś w gajach i górach, nawet najnatrętniejsza z pomiędzy nich, brzęcząca Euterpe, przestała przynajmniej trapić nas koncertami, kontentując się popisami kapeli wojskowych i opery. W tej ostatniej, pojawiła się we Lwowie pani Desta, i recenzje dzienników miały podczas jej pobytu miny nieco zakłopotane, jak gdyby miały trochę więcej lub trochę mniej do powiedzenia niż powiedziały. Na szczęście, pani D. wyjechała i recenzenci mogą iść spać wcześnie i spokojnie, pochwaliwszy p. Jakowicką i p. Zakrzewskiego, i zrobiwszy uwagę, że p. Horbowski, nim „wypuści“ ton, „wypuszcza“ zawsze poprzednio dużo powietrza, co niekorzystnie oddziaływać ma na jego deklamację.

W ogóle krytyka muzyczna we Lwowie, albo zupełnie nie jest obznajomioną z technicznemi warunkami egzekucji, albo też, jak w powyższym wypadku, popisuje się trochę za wiele ich znajomością i wykłada artystom, jak w szkole, pierwsze zasady ich nauki. Ów słynny swojego czasu patolog muzykalny, który cały kram swojej anatomicznej wiedzy roztasowywał w recenzjach, nie pozostał, jak widzimy, bez naśladowców. Ze wszystkich zaś rzadkości literackich największą zostanie u nas ponoś jeszcze długo dobrze napisana krytyka muzyczna, a to z tego powodu, że ci co się znają na muzyce, nie umieją pisać, ci zaś, którzy umieją pisać, lub którym się to przynajmniej zdaje, nie znają się na muzyce.

Doprowadza to nieraz do objawów nader komicznych. Ośm lat temu, było nas trzech członków pewnej redakcji na koncercie, urządzonym przez Towarzystwo muzyczne. Ponieważ chodziło o cel dobroczynny i nader szlachetny, i ponieważ biorącym udział amatorom i amatorkom należało się przynajmniej publiczne uznanie za poniesione trudy, więc przysłuchiwaliśmy się im bardzo pilnie, z programami drukowanemi w ręku i usiłowaliśmy obudzić w sobie tyle entuzjastycznego zachwytu, ile go potrzeba do napisania artykułu o rzeczy, której się dobrze nie rozumie. Nazajutrz też, jeden z nas — ale dalipan nie ja — dosiadł wypróbowanego w wiązanej i niewiązanej mowie pegaza i miał krytykę tak pełną poetycznego polotu, że mnie samemu łzy kręciły się w oczach wobec wznowionych w ten sposób, rozkosznych wrażeń artystycznej biesiady, w której i moje uszy przecież udział brały. Ale wnet, gdy wyszedłem na miasto, ten niedobry p. Mikuli popsuł mi nietylko chwilową radość, lecz także i cały mój humor na długi czas potem. Oto, program ów drukowany, który nam pomagał zachwycać się śpiewem i muzyką, nie był wcale programem koncertu, zmieniono go bowiem w ostatniej chwili, — i podczas kiedy kolega mój zachwycał się n. p. kompozycją Donizettego i słowiczym sopranem pani X. która ją „po mistrzowsku“ oddała, pokazało się, że śpiewała nie pani X. ale młodsza od niej i niezamężna panna Y. i to nie sopranem, ale altem, i nie Donizettego kompozycję, ale Mayerbeera. Pokazało się nadto, że gdzie pochwalono koloraturę i nadzwyczajną wprawę pani X. w tych łamanych sztukach włoskich, należało raczej wynieść pod niebiosa dramatyczną siłę, rozwiniętą w głosie panny Y. — a gdzie kolega mój twierdził, że podobnie boskie myśli wyrażone być mogły w tonach jedynie pod klasycznem niebem Italji, co była kolebką i pogańskiej, zmysłowej, i chrześcijańskiej, duchowej sztuki — tam raczej należało wyrazić podziwienie, jaką to potęgę rozwinął w swojej kompozycji... niemiecki żyd, brodząc po paryskiem błocie!... I to jeszcze byłoby fraszką, gdyby pomyłka podobna wydarzyła się była tylko co do jednego numeru w programie, i gdyby śpiewali byli artyści z profesji, których gniewy kończą się za kulisami — ale na szczęście, cały program był zmieniony, cała recenzja bajką, i w ca-

tem mieście nie było ani jednej rodziny, w którejby pomyłka recenzenta nie sprawiła niemiłego wrażenia, bo amatorowie i amatorki mają szerokie koła krewnych, przyjaciół i wielbicieli. Przez cały miesiąc tedy nikt z naszej redakcji nie ośmielił się wyjść na ulicę, ja zaś dałem sobie słowo, że nie będę nigdy pisał o tem, czego dokładnie nie rozumiem. Przyszłość pokaże, czy dotrzymałem tego słowa — owi zaś koledzy moi postąpili sobie sprytniej — nie dawali słowa i piszą o wszystkiem, nie obawiając się zarzutu wiarołomstwa.

Skoro, jak powiedziałem, nawet muzyka jeżeli nie ucichła, to przynajmniej przycichła trochę w tej chwili, to łatwo sobie wyobrazić, że literatura daje jeszcze mniej znaków życia. Wydawnictwa nie opłacają się w lecie, bo o tej porze nikt nie kupuje książek, wydanych zaś teraz, także nikt nie kupiłby w jesieni lub w zimie, bo byłyby już stare. Tak rozumują wydawcy, przypuszczając, że, zdaniem kupującej publiczności, książki starzeją się równie prędko, jak masło. Pojawiły się atoli dwa białe kruki, które nie obawiają się tego losu. P. Kołaczkowski, inżynier, znany miłośnik sztuk pięknych i archeologji, wydał we Lwowie „Słownik rytowników polskich“ obejmujący rytowników bądź Polaków, bądź cudzoziemców, którzy mieszkali w Polsce stale lub czasowo. Jest to ciekawy bardzo przyczynek do dziejów sztuki w naszej ojczyźnie, tem ciekawszy, im uboższemi były te dzieje aż do lat najnowszych. Krytycy krakowscy „wypośrodkowali,“ mówiąc stylem tamtejszym, że naród polski nie miał nigdy zamiłowania w sztukach, że zamiłowanie to nie leży w jego usposobieniu, i że artystów z pomiędzy siebie wydać nie możemy. Gdy nagły wzrost malarstwa i rzeźby zadał kłam temu z niemiecka uczonemu twierdzeniu, i to tuż pod bokiem krytyki krakowskiej, usiłuje ona obecnie wykazać, że między teraźniejszym wzrostem a dawnemi zabytkami i śladami zamiłowania w sztukach, nie ma żadnego związku. Pobita w teraźniejszości, krytyka ta zwraca się ku przeszłości, i zaprzecza, jakoby rozwojowi sztuk w Polsce przeszkodziły były wojny, najazdy itp. zwłaszcza że i inne kraje, w szczególności zaś Niemcy i Włochy, były teatrem nieustannych wojen, a sztuki zakwitały tam potężnie. Z tego ma wynikać, że ponieważ warunki zewnętrzne tu i tam były te same, więc słaby rozwój sztuk pięknych w dawnej Polsce pochodzi z powodów wewnętrznych, z nieusposobienia, tkwiącego w naturze narodu. Na podstawie tego pozornie słusznego rozumowania, krytyka krakowska karci p. Kołaczkowskiego za mniemany jego szowinizm, polegający na tem, iż zebrał ślady rytownictwa w Polsce od najdawniejszych wieków, i uzupełnił tem samem Rastawieckiego „Słownik malarzy polskich“. W istocie, jest to ze strony historyka śmiałością nie do darowania, iż śmie odszukiwać i zestawiać to, czego zdaniem krytyki nie było i być nie mogło, bo orzekła ona *a priori*, że dawnym Polakom brak było zmysłu artystycznego, brak wewnętrznego usposobienia do pielęgnowania sztuk pięknych. Czy nie chcieliby pp. Krytycy zastanowić się, ażali przecież, oprócz przytaczanych dawniej wojen, najazdów itd. nie było jeszcze jakich innych zewnętrznych, nie zaś wewnętrznych powodów, dla których sztuki w Polsce zakwitnąć nie mogły? Mojem zdaniem był taki powód, a tym był — brak miast. Sztuka nigdzie nie wychowała się na wsi — w Polsce pokazało się, że nawet prosty kunszt rządzenia i utrzymania państwa, ponieważ chciano go koniecznie uczynić wieśniakiem i nie wypuszczać ze ścian „modrzewiowego“ dworu, nie rozwinął się wcale i zrobił opłakane *fiasco*. Jeszcze mniej sprzyjał sztukom pięknym rozwój tego ziemiańskiego, rycerskiego i rolnego życia, pozostawiającego miasta żywiołom obcym i wzrost ich tamującego. Dziś, kiedy z biegiem czasu poczęły podnosić się miasta, podnosi się i sztuka, bo wyobraźnia ludzka, oprócz własnej potęgi i działania na nią przyrody, pztrzebuje koniecznie obcowania z ludźmi, potrzebuje pokarmu umysłowego, aby mogła tworzyć, a pokarmu tego dostarczyć jej mogą jedynie ogniska, w których odbywa się praca duchowa ludzkości. Któż może zaręczyć, że u nas przez tyle wieków nie zmarniały nieraz olbrzymie talenta, dla braku tego pokarmu?

Drugą książką, która się niedawno pojawiła, jest obszerny nader poemat dydaktyczny p. L. S. Chamca, autora znanych już Sonetów — p. t. „Dąsy starego patryoty“. Jest tam gładka dykcja i pełno wybornych morałów, ale mało nowych myśli i mało poezji. Ta ostatnia uleciała snać od nas na czas jakiś, wypłoszyły ją może desperackie rymy naśladowców Słowackiego i płaczliwe kwilenia Lenartowiczów *en herbe*. Poeci młodsi wpadają albo w sensualizm nagi i nieobwinięty w bawełnę, jak autor pięknego wiersza: „Odpoczywa“ — albo, jeżeli stronią od tej ostateczności, zdarza się czasem, że wpadają — w idiotyzm. Jedni wprost, inni — za pomocą alkoholu. Dwa te prądy idiotyzmu poetycznego nie cierpią się nawzajem, jak tego dowodzi podsłuchana niedawno rozmowa dwóch uczniów Apollina, w teatrze. X. napisał sztukę na trzeźwo idiotyczną, a Y. po mnogich libacjach, pojawił się na przedstawieniu i drwił głośno i nielitościwie z nieszczęsnego autora i z niefortunnych konceptów, wygłaszanych na scenie po moskiewsku przez figurę jego utworu.

— Ty, ty, pijanico! zawołał wreszcie p. X. do żywego zniecierpliwiony.

— Et! odpowiedział Y. przedrzeźniając moskiewszczyznę swego przeciwnika: Pijanica praspit-sa, a durak nikagda! (Z pijaństwa można się wyspać, a z głupoty niepodobna).

Riposta była zręczna i dotkliwa, z tem wszystkiem jednak, rehabilitacja pijanego idiotyzmu nie udała się i biedny Y. kończy karjerę w szpitalu, podczas gdy X. zagraża nam nowemi jeszcze utworami swojej muzy, bo w istocie — nie wyspał się dotychczas ze swojej wady.

* * *

Zapyta może czytelnik, co robi reszta Lwowa, oprócz artystów i literatów? Reszta Lwowa — kąpie się lub podróżuje. Bodaj to mieć fundusze i puścić się w drogę — byle tylko nie tak niefortunnie, jak dwie poważne i zamożne matrony tutejsze! Odwiedzały one co roku braci swoich, osiedlonych na Ukrainie, i zwykle jeden z braci przybywał do Lwowa, aby towarzyszyć siostrom i załatwiać wszystkie te drobiazgi, do których samoistnego załatwienia emancypacja jeszcze niewiast zdolnemi nie uczyniła. Tego roku brat nie przybył, mimo to jednak pani N. senior i pani N. junior wyjechały, zaopatrzywszy się w niefałszowane ruble i w legalne paszporty. Dojechały szczęśliwie do Kijowa, zapłaciły za dalszy transport parostatkiem i, ku wielkiej swojej radości, na pokładzie tego ostatniego spotkały się z jednym ze swoich braci.

— A gdzie wasz kufer? zapytał tenże, po pierwszem przywitaniu.

— Kufer? A, prawda, kufer! Gdzie może być nasz kufer?

Nie było rady, trzeba było zrzec się sumy zapłaconej na parowcu, który tymczasem odpłynął, i szukać kufra. Nie było go w hotelu, ani na stacji kolei żelaznej — pokazało się, że został w Radziwiłłowie, gdzie panie, kobiecym obyczajem, po rewizji na „tamożni“ zapomniały „nadać“ na nowo swoje pakunki. Telegrafowano do Radziwiłłowa, nic nie pomogło. Damy, niespokojne o los swoich czepków, postanawiają tedy wracać do Radziwiłłowa, i wyprawiają brata, by zapowiedział ich przybycie w domu. Po jego odjeździe, kupują bilety, wsiadają do wagonu i jadą. Nad ranem jakiś czynownik pojawia się w *coupé* i pyta o bilety. Nasze podróżne pokazują mu te, które kupiły w Kijowie, — czynownik, zamiast się tem kontentować, poczyna wymyślać po moskiewsku, wszczyna się hałas, nadbiega szef stacji i bez ceremonji każe paniom N. wysiadać. Przerażone, dowiadują się, że wsiadły do innego pociągu, niż należało, że w skutek tego zajechały na północ, niedaleko Moskwy, i że teraz zapłacą za bilety tam i napowrót, oprócz grzywny, wynoszącej kilka rubli. Zgodziwszy się z wolą bożą, obydwa te Ulisesy rodzaju żeńskiego płacą, jadą, i znowu płacą, aż nareszcie dopłaciły i dojechały do Kolbunowa, zkąd pociąg idzie dalej do Brześcia i do Warszawy, i gdzie potrzeba przepędzić kilka godzin, czekając na pociąg idący do Radziwiłłowa. W tem oczekiwaniu, pani N. senior zadrzymała na jednem krześle, w sali stacyjnej, a pani N. junior na drugiem. Spały może godzinę, gdy pani N. junior ocknęła się, postrzegła, że toaleta pani N. senior jest w najokropniejszym — powiem nawet, w najnieprzyzwoitszym nieładzie — mniej więcej w takim, w jakimby była, gdyby ją zburzył Boreasz, Akwilon, albo inny jaki bożek równie złośliwy. Pani N. junior krzyknęła tedy przeraźliwie, obydwie panie zerwały się i nuż radzić nad przyczynami tego nadzwyczajnego i opłakanego zjawiska, gdy przyczyna objawiła się sama przez się — w kieszeni pani N. senior brakowało bowiem pugilaresu zawierającego nietylko ruble, ale co gorsza, paszporty potrzebne do powrotu do Lwowa. Ma się rozumieć, że władze moskiewskie, pod pozorem może ochronienia tych dam od dalszych nieprzyjemności, ofiarowały im natychmiast przytułek w turmie, nie masz bowiem gorszej zbrodni po tamtej stronie kordonu, jak brak paszportu. Dopiero dzięki jakiemuś znajomemu urzędnikowi, którego sprowadzano z Brodów, udało się, *post tot discrimina* uwolnić te dwie obywatelki rzeszy rakuzkiej i obdarzyć niemi napowrót konstytucyjny grunt przedlitawski.

Ciekaw jestem, czy po przeczytaniu tej historji, piękniejsza połowa rodzaju ludzkiego domagać się jeszcze będzie emancypacji?

J. Lam.

TEATR.

Sezon letni.

Rozpoczynając niniejszem dział krytyczny w *Tygodniu*, czuję, iż powinienbym za przykładem tylu innych krytyków i estetyków, zacząć od poglądów równie głębokich jak górnolotnych, równie ogólnikowych jak jednostronnych, równie tajemniczo-niezrozumiałych jak bezowocnie nudnych: o sztuce i estetyce w ogólności, o ich początkach, rozwoju i przeobrażeniach, następnie zaś w szczególności o tej gałęzi sztuki, którą tu omawiać zamierzam. Czuję, powtarzam, iż powinienbym zacząć od wyznania mojej wiary estetycznej z wszystkiemi jej artykułami wobec szanownych czytelników, tudzież od przekonywania ich,

że jedynie i wyłącznie na łonie tej wiary czeka ich doskonałość poznania i niebo roskoszy estetycznych. Przyozdobiwszy to wszystko cytatami sławnych autorów zaczerpniętemi z encyklopedji w tym celu wydanych, zdaje mi się, iż potrafiłbym odrazu stanąć w opinji szanownych czytelników jako jedna z powag krytycznych.

Pomimo tak powabnych widoków, jakie mi zapewnia wyż opisane postępowanie, wolę go jednak zaniechać, spodziewając się (jestem pewny, iż mnie ta nadzieja nie zawiedzie!) zyskać przez to, jeżeli już nie sławę powagi krytycznej, to z pewnością szczerą wdzięczność szanownych czytelników... Zresztą wyznaję z pokorą, iż nie potrafiłbym nikogo nauczyć „czuć“ ani też „poznawać piękno,“ jak to zwykle bywa pragnieniem estetyków, i dlatego też nie podejmuję się tego, tak, jak nie podjąłbym się nauczyć odróżniać kolory, smaki, wonie lub dźwięki nikogo, komuby natura daru tego odmówiła. Natomiast pragnąłbym tym, którzy umieją już „czuć“ i „rozpoznawać piękno od brzydoty“, ułatwiać wyszukiwanie i rozróżnianie dodatnich i ujemnych stron z rozmaitych dzieł i kształtów dramatycznych. Pragnąłbym sąd, drzemiący często na poły bezwiednie, w poczuciu estetycznem każdego wykształconego widza, o tym lub owym utworze sztuki dramatycznej, wydobywać na wierzch i nadawać mu kształt jasno określony i przez to obudzać w widzu samowiedzę tego sądu, która w następnych wypadkach spotęguje jego przenikliwość, trafność i jasność. Kształcenie sądu estetycznego w publiczności jest, jeśli się nie mylę, najgłówniejszem zadaniem i celem i krytyka pism perjodycznych. Wreszcie pragnąłbym także udzielać tu czytelnikom moich własnych indywidualnych zapatrywań o dziełach sztuki dramatycznej, oświadczając zarazem, iż sam pierwszy najmniej wierzę w nieomylność tych zapatrywań.

Rzeczywistość podniesiona do ideału, zespolenie prawdy, jak się ona przedstawia w świecie zmysłowym, z pięknem idealnem istniejącem w wyobraźni każdego wykształconego człowieka, pozostanie na wieki zadaniem i dążeniem każdej sztuki, a tem samem i sztuki dramatycznej. Geothe powiedział: „*Der Grund aller theatralischen Kunst, wie einer jeden anderen, ist das Wahre, das Naturgemässe. Je bedeutender dieses ist, auf je höherem Punkte Dichter und Schauspieler es zu fassen verstehen, eines desto höheren Ranges wird sich die Bühne zu rühmen haben.*“ Cytatem tym (który mi czytelnicy wybaczą, zważając na wyjątkowość faktu i na tradycję istniejącą w tej mierze między krytykami), cytatem, który każda scena powinna przyjąć za dewizę, mogę zakończyć już wstęp a przejść do rzeczy.

Bliski koniec sezonu letniego uprawnia mnie, sądzę, do kilku uwag nad jego przebiegiem i ogólnego opisu jego historji, zwłaszcza że ta obejmuje w sobie zdarzenia tak ważne, jak: wycieczki teatru lwowskiego do Przemyśla i Stanisławowa, założenie teatru letniego i występy gościnne obcych artystów.

Co się tyczy tych ostatnich, mamy w tym roku do zapisania występy gościnne dwojga tylko artystów dramatycznych, a mianowicie: pani Modrzejowskiej i p. Edgara, artysty teatru miejskiego w Berlinie, a obecnie świeżo pozyskanego członka naszej sceny. Występy te rozbudziły nieco ostygły interes publiczności dla dramatu i ożywiły sezon ogórkowy, który w tym roku rozpoczął się był dla teatru lwowskiego już — w kwietniu. Zwłaszcza zaś występy ulubienicy publiczności lwowskiej p. Modrzejowskiej przepełniały teatr, a karjatydy pod lożami zdawały się brać za głowę ze zdziwienia nad tem zjawiskiem, od długiego już czasu tak rzadkiem w ich metropolji. Tegoroczny repertoarz p. Modrzejowskiej obejmował oprócz sztuk, w których dawniej już występywała, trzy sztuki nowe, a mianowicie dramata O. Feuilleta „Julia“ i „Sfinks“ i dramat, a raczej poemat dramatyczny Grillparzera „Safo“. Najwięcej powodzenia miał z nich „Sfinks“, najmniej „Safo“, „Sfinks“ i „Julia“ należą do rzędu tych sztuk, które mi tegocześni autorowie dramatyczni francuscy uwzięli się przekonać Europę, iż nie ma dziś przedmiotu bliżej dotykającego najżywotniejszych interesów i pragnień ludzkości i bardziej zasługującego na to, aby być treścią utworów sztuki, jak niewierność małżeńska i miłostki tak żonatych mężczyzn jak też zamężnych kobiet. Byłoby to z pewnością zabawnem i zajmującem, gdyby nie było zbyt jednostajnem, a przytem byłoby to także piekielnie nudnem, gdyby nie było z takim talentem, z taką werwą, z takiem bogactwem efektów scenicznych, z taką przekonywującą znajomością tajemnic psychologicznych napisane. I oto, co właśnie w tem jest najgorszego! Łatwo można wybaczyć autorom francuskim to, że nie wierzą w moralność na świecie, usprawiedliwia ich bowiem z tego społeczeństwo, wśród którego żyją i dla którego piszą, — ale trudno nie zniecierpliwić się natarczywością, z jaką gwałtem usiłują wmówić w publiczność, że „moralnością“ jest właśnie to, co oni za taką podają, a co właśnie najmniej zdaje się być podobnem do „moralności“... Zresztą szczegółowsze omówienie tej kwestji odkładam do najbliższej sposobności, na którą zapewnie nie długo będę potrzebował czekać, zważywszy, że teatr lwowski obecnie z tego gatunku sztuk najchętniej czerpie swoje nowości. Prawda, że zalety ich sceniczne silnie za niemi przemawiają i zapewniają im z góry powodzenie, jakiego z odwrotnej właśnie przyczyny nie mogą u publiczności naszej spodziewać się utwory takie, jak „Safo“. Po przedstawieniu tego utworu posłyszałem o nim zdanie takie, iż jest to romans z pokojową przez Niemca po grecku napisany... Jest w tem trochę słuszności, więcej jednak złośliwości.

P. Edgar wystąpił w kilku z koleji rolach, a mianowicie; w *Mnichu* Korzeniowskiego, w *Fauście* jako Mefisto, i w *Synu Giboyera*. Jest to artysta młody i utalentowany, zostający dziś jeszcze pod wpływem teraźniejszej realistycznej szkoły niemieckiej, której Lewiński jest mistrzem, a która popycha do upadku sztukę dramatyczną w Niemczech. Szkoła ta wyklucza z gry wszelkie delikatniejsze cieniowanie, ograniczając się na efektach kulisowych grubo realistycznej natury, któremi działa potężnie na nerwy widza, przybierając pozór prawdy, podczas gdy w istocie jest tylko przesadą rzeczywistości, wyradza w artyście fałszywą deklamację, uwodzi go do ruchów nieestetycznych i wtrąca w manjerę płytką i krzykliwą. Niektóre z tych błędów posiada p. Edgar, przy samodzielności jednak swojego talentu, niewątpię, iż w któtkim czasie wyłamie się z nich szczęśliwie, poprawiwszy zarazem język, który obecnie raził jeszcze cudzoziemskim akcentem. Jego Mefisto, jakkolwiek w zasadniczym tonie roli zbliżony do kreacyi Lewińskiego, miał jednak błyski oryginalności świadczącej pochlebnie o talencie artysty. W p. Edgarze zyskała scena lwowska zdolnego artystę do ról charakterystycznych *par excellence*, tudzież do ról poważnych dramatycznych, a tem samem cenne wzmocnienie szczupłych sił dramatu. Przy tej sposobności tu miejsce także wspomnieć o pp. Terenkoczych, którzy dla sceny tutejszej wielce pożytecznym są nabytkiem.

Po wyjeździe pani Modrzejowskiej, dyrekcja dla ratowania kasy wpadła na pomysł, oddawna niepraktykowany w dziejach teatru lwowskiego: postanowiła dać szereg przedstawień dramatu i opery w Przemyślu. Rachuba jednak zysków meterjalnych zawiodła. Pomimo bowiem, że wszystkie przedstawienia razem przyniosły kasie teatralnej przeszło 2000 złr. (suma jak na Przemyśl zdumiewająco wysoka), koszta podróży, pobytu i przedstawień pochłonęły prawie całą tę sumę. Nie obliczono się naprzód ściśle z wydatkami. Wątpliwszą jeszcze nierównie była korzyść moralna odniesiona z tej wycieczki. Dyrekcja wyszła widocznie z tej najfałszywszej zasady, że przedstawienia na prowincji dadzą się zbyć jak najsłabszym aparatem sił artystycznych, jak najniedobrańszym repertoarzem i że publiczność małomiejska da się za drogie pieniądze byle czem zadowolić.... Naznaczono niesłychanie wygórowane ceny wstępu, a nie starano się wcale o to, ażeby wartość artystyczna przedstawień odpowiedziała oczekiwaniom tym sposobem bardziej jeszcze zaostrzonym i bardziej uprawnionym publiczności przemyskiej. Na pierwsze przedstawienie dano „Trzeci Maj“ Kraszewskiego, obsadziwszy sztukę samemi prawie drugorzędnemi siłami. Zawód jaki oczywiście spotkał publiczność, uniemożebnił stanowczo dalsze powodzenie dramatu i zmusił do poprzestania na tem jednem przedstawieniu. Prócz niego dano jeszcze kilka oper z bardzo słabą obsadą (partję tytułową w „Żydówce“ n. p. śpiewała panna Kwiecińska, która, o ile cenną jest śpiewaczką operetkową, o tyle wielkim partjom operowym jak Rachel, wymagającym pierwszorzędnego głosu, oczywiście nie jest w stanie podołać w sposób zadowalający) tudzież kilka operetek. Jakież więc wspomnienie zostawił po sobie teatr lwowski w Przemyślu? Jakąż korzyść moralną dla sceny i dla sztuki przyniosła ta wycieczka?.... A jednak, jeżeli czem, to właśnie tą korzyścią moralną dadzą się umotywować tego rodzaju wycieczki letnie stołecznego teatru na prowincję, zysków bowiem materjalnych, jak dowiodła tego świeża próba, spodziewać się po nich nie można. Byłoby to nawet prawdziwą zasługą sceny stołecznej, dawać co lata w większych miastach prowincjonalnych po kilka wzorowych przedstawień sztuk nowszych wartościowych polskich; tego rodzaju apostolstwo dobrego smaku na prowincji, mogłoby z czasem podwyższyć znacznie ogólny poziom smaku w kraju naszym, rozbudzić zamiłowanie dla sztuki i literatury, rozpowszechnić znajomość utworów ojczystej literatury, zgoła stać się jedną z potężnych dźwigni cywilizacji w kraju.... Ale potrzeba wprzódy, ażeby ci, którzy mają być takimi cywilizatorami, sami nabrali wyższego i szlachetniejszego pojęcia o sztuce i jej zadaniu u nas, inaczej to samo co w innym razie byłoby z wysoką połączone korzyścią, stanie się w ręku ich, użyte niewłaściwie, wprost szkodliwem.... Wątpię bardzo, ażeby środdkiem do uszlachetnienia smaku i rozbudzenia zamiłowania dla sztuki i literatury ojczystej po miastach prowincjonalnych, miało być przedstawienie *Pięknej Heleny i Sinobrodego* i. t. p. We Lwowie da się to jeszcze usprawiedliwić wieloma względami, chociaż i tu nie należy nigdy przekraczać prawideł dobrego smaku, którego zachowanie zależy od „sposobu“ w „jaki“ tego rodzaju sztuki bywają przedstawiane... Co się tyczy szczegółów z wycieczki teatru lwowskiego do Stanisławowa, słyszałem tylko, że na pierwsze zaraz przedstawienie przeznaczono— *Życie paryskie*.

Po powrocie z Przemyśla zmuszoną była dyrekcja umyśleć nowy środek do pobudzenia interesu publiczności i przywabienia jej do kasy teatralnej. Środkiem tym miał być „teatr letni“ na Strzelnicy. Ale i tu wzięto się do rzeczy zbyt dorywczo, bez należytego przygotowania, bez planu, bez koniecznej sprężystości. Nie starano się o doborowy repertoarz, urozmaicenie go nowościami stosownemi do podobnych przedstawień, ani o staranność tychże. Przedstawienia te miały cechę prowizoryczną, dorywczą — były zbywane z dnia na dzień. Nie potrafiono podtrzymać w publiczności zajęcia rozbudzonego chwilowo wrażeniem nowości. Nie chcę dyrekcji czynić zarzutu z zewnętrznego urządzenia teatru letniego, ufając, że dyrekcja sama jest tego zdania, iż miasto stołeczne jak Lwów, słusznie wymagać może teatru letniego urządzonego wykwintniej i z pewnym smakiem artystycznym. Tymczasowość urządzenia wynikała z nagłości projektu i zasługiwała z tego powodu na usprawiedliwienie. Okoliczność ta niemniej przeto szkodliwie wpłynęła na powodzenie przedsiębiorstwa. I publiczność i nawet sami artyści lekceważyli widocznie przedstawienia na ogródkowej scenie, opatrzonej dość pierwotnym aparatem scenicznym, niektórzy artyści i artystki uchylali się nawet cichaczem od występywania na niej, upatrując w tem ubliżenie swej godności.

Teatr letni jest, zdaniem mojem, najodpowiedniejszym ze wszystkich używanych dotąd środków, do przebycia tak ciężkiego dla sceny naszej sezonu letniego, bez strat materjalnych, a z korzyścią moralną. Wymaga jednak postępowania umiejętnego, podług pewnego z góry obmyślanego planu, z repertoarzem naprzód przygotowanem, z sumiennem, starannem, sprężystem kierownictwem. A że teatr letni ma warunki powodzenia, dowodzą tego czasy Bogusławskiego, który w ogrodzie Jabłonowskich wybudował teatr letni z prawdziwie wykwintnym smakiem dawał w nim przedstawienia w lecie wobec licznie uczęszczającej publiczności, z zyskiem materjalnym i z chwałą teatru. Dziś wyższe są jeszcze wymagania artystyczne, i te zaspokojone być muszą, jeżeli scena nie ma upaść.

Kierownictwo dzisiejsze, któremu niepodobna zresztą dobrych chęci odmówić, grzeszy brakiem umiejętnie i jasno wytkniętego programu, brakiem energji i sprężystości, dorywczością, prowizorycznością, bytowaniem z dnia na dzień. Skutkiem tego koniecznym bywa rozprzężenie wewnętrzne, zniechęcenie artystów, nieufność i ostygłość publiczności i upadek sceny. W samej dyrekcji, składającej się z trzech członków, panuje częstokroć brak jednomylności, krępujący jej działalność i podkopujący powagę. Repertoarz rzadko obmyślany naprzód, nie uporządkowany, nie wzbogaca

się w tym stosunku i w tym stopniu, jakby należało. Wiemy dobrze, że w przedsiębiorstwie prywatnem, słabo subwencjonowanem, mającem do walczenia z tyloma trudnościami materjalnemi, które liczyć się przeto musi ze smakiem publiczności a nawet z jej kaprysami, „zasadniczość“ w wyborze repertoarza, kierowana li tylko czystemi względami artystycznemi, ustąpić musi częstokroć „utylitarnym“ względom i czynić niektóre ustępstwa artystyczne dla materjalnej konieczności. Dlatego nie oburzamy się wcale na przedstawianie od czasu do czasu sztuk, mniej uprawnionych do tego ze stanowiska kodeksu artystycznego, uważamy to za smutną konieczność, ale pragnęlibyśmy, aby zachowano w tem miarę, przepisaną najistotniejszemi wymaganiami sztuki i prawidłami piękna, w ten sposób to złe konieczne złagodnieje, smak nie tyle ucierpi. Najlichsza ze stanowiska artystycznego rzecz przedstawiona ze smakiem, z pewną godnością artystyczną, nabierze przez to samo pewnej wartości, która sparaliżuje częściowo przynajmniej szkodliwy jej wpływ.

Dwie zwłaszcza zasady pragnęlibyśmy widzieć w teatrze lwowskim ściśle przestrzegane, a mianowicie: 1) ażeby „każda“ sztuka, czy większej czy też mniejszej wartości, czy to tragedja klasyczna czy farsa francuska, czy komedja, czy dramat, przedstawioną była zawsze „z jednakową“ starannością, smakiem, i miarą artystyczną i z pewnym pietyzmem, winnym dla sztuki i sceny; 2) ażeby nigdy nie porywano się na sztuki, na których nienaganne w „całości“ przedstawienie, nie wystarczają siły teatru. W każdem przedstawieniu powinna dyrekcja dążyć do osiągnienia skończonej ile możności artystycznej „całości.“ Pojedyńcze najświetniejsze nawet szczegóły przy lichem otoczeniu, podnoszą tylko bardziej jeszcze lichotę tego otoczenia, dlatego jeśli niepodobna n. p. przedstawiać tragedyj klasycznych w sposób w całości przynajmniej nienaganny, lepiej takowych wcale nie przedstawiać. Trzymając się tych zasad, potrafi scena zachować zawsze „godność“ swoją, od której głównie zależy powodzenie jej u publiczności, a tem samem powodzenie i wzrost.

Nie sądzę, ażeby tych kilka luźnie rzuconych uwag, miało wyczerpać wszystko co się w sprawie teatru lwowskiego da powiedzieć. Pragnąłbym jednak ażeby znalazły przynajmniej odgłos w sferach kierujących teatrem i ażeby tam uwierzono w ich przychylność i dobrą wiarę, jakkolwiek gorzkiemi być mogą. Pragnąłbym, ażeby w zbliżającym się sezonie zimowym dał się spostrzedz wpływ namacalny tych uwag.

O ile wiem, dyrekcja krząta się około repertoarza zimowego, między innemi mamy ujrzeć dwie oryginalne sztuki polskie, a mianowicie: dramat Br. Komorowskiego „Krok“ i komedję A. Bełcikowskiego „Protegujący i Protegowani“. Spodziewamy się także że strata jaką poniósł teatr lwowski w panu Ładnowskim, wkrótce uchyloną zostanie powrotem znakomitego artysty. Tak więc dramat rokuje w sezonie zimowym lepszą przyszłość. Oby ta nadzieja nie zawiodła!

Sprawę opery lwowskiej, rozbierzemy wkrótce w osobnym artykule.

M. Dzieduszycki.

Piśmiennictwo polskie.

RECENZJA

Dr. Karola Libelta.

(*Panteon wiedzy ludzkiej Bronisława Trentowskiego*, nakładem Tom I. Poznań J. K Żupańskiego r. 1874). Był czas, i nie tak odległy, kiedy filozoficzne pisma polskie, z wielką skwapliwością rozczytywane były. Wtedy na pierwszem miejscu, i słusznie, pomiędzy badaczami tej głębokiej umiejętności, kładziono imię Bronisława Trentowskiego. Dzieła jego były tak wzięte i popularne, że je sobie nie tylko młódź dorosła, ale i uczeni nasi z zapałem przyswajali. Wiadome są w tym kierunku prace J. I. Kraszewskiego. Tak był zajęty pięknym wykładem i systemem narodowego naszego filozofa, że zapragnął poznać filozofję w jej źródłach, i rzucił się na studja języka greckiego, by w oryginale czytać i zrozumieć Platona.

Zmieniły się czasy. Materjalne kierunki ogarnęły społeczność i oddziałały szkodliwie i na polu umiejętności filozoficznych. Pozytywizm wziął przewagę nad spekulacją, nauki doświadczalne nad badaniami samego rozumu i nurtującej myśli. Objawy ducha w świecie i w ludzkości osłabły. Zanegowane najwyższe ideje bezwzględnej istności. Osobowość duchowa, nieśmiertelność i żywot wieczny do mrzonek policzone. Stan takiego nagłego przewrotu pojęć i wyobrażeń tłumaczy tę osobliwą okoliczność, że „Panteon wiedzy ludzkiej“, już na pięć lat przed śmiercią autora ukończony, dopiero dziś wychodzi na widok publiczny. Dzieło umiejętne, a do tego filozoficzne, acz powabnym i zrozumiałym stylem przedstawione, do tego obszerne i dla tego kosztowne, nie znalazło ani pokupu, ani nakładcy. Zawdzięczamy to rzutności, gorliwości, a rzekłbym i poświęceniu się nakładowej księgarni J. K. Żupańskiego w Poznaniu, że podjęła wykład kilku tysięcy talarów, by pracę tak znamienitej treści, uczynić przystępną dla publiczności polskiej. W dzisiejszych okolicznościach, tego rodzaju publikacjom bardzo nieprzyjaznych, jest to przedsięwzięcie dla nakładcy niepopłatne; — wszakże nie ryzykowne. Dzieło tak dokładnego pod względem treści i formy obrobienia, ma pomnikową wartość, znajdzie zawsze, choćby tylko rzadkich lubowników, a przyczynić się nawet może, że nawróci umysły intelligencji naszej znowu na drogę rozumowych badań, równie potrzebnych i pożytecznych, jak wyniki i odkrycia, na samych doświadczeniach oparte.

W tej myśli podjąłem zwrócić uwagę czytających na pośmiertne dzieło Trentowskiego, którego dopiero dwa tomy wyszły, każdy po przeszło czterdzieści arkuszy druku. Zdaniem mojem nie tylko pod względem obszerności, ale i pod względem treści, najznamienitsze dzieło narodowego naszego filozofa. Najwyborniejsze, jakie napisał. Owoc wieloletniej pracy i gruntowego zapatrywania się na rozwój wiedzy ludzkiej. Rzetelny i dokładny wypływ systemu jego filozofji. Do tego język tak powabny a niekiedy uroczy, forma tak przystępna, że pracę tę i niewtajemniczeni w umiejętne całokształty, z przyjemnością i pożytkiem czytać mogą.

Autor sam nazywa swój Panteon „pantologją, encyklopedją wszech nauk i umiejętności, propodeutyką powszechną i wielkim systemem filozofji“. Nie jest to encyklopedja umiejętnośc filozoficznych, jaką napisał Hegel; nie są to zestawione encyklopedje innych naukowych obszarów, jak teologji, prawa, filologji, nauk przyrodniczych, nauk historycznych i t. p. Ale jest w jeden ujęta system wszystka wiedza ludzka, jest całokształtowanie wszelakich nauk i umiejętności, jakoby z jednego wystrzelających ziarna. Jest to niejako „uniwersytet“, przedstawiony w narodowej obłoczy, przeznaczony nie tylko dla nieumiejętnych, ku nauce, ale i ku unarodowieniu tych: „co są w obcych szkołach i na obcych rzeczy widzeniach zboczyli sami“. (Tom I.st. 29).

Całe to rozłożyste nauk i umiejętności drzewo przedstawia się naprzód „podmiotowo“; to jest, w jakim sposobie „ktoś“ na nie się zapatruje. Można na nie poglądać, albo z „empirycznego“ stanowiska, czyli uważać przedmioty wiedzy, takie, jakie są, badać wszystko na drodze doświadczenia *a posteriori;* albo ze stanowiska „spekulacyjnego“, czyli *a priori*, to jest z własnej myśli wysnuwać rzecz, upatrując tę samą myśl, rozum, czy ideę w każdej przedmiotowości. Są to jednostronne, a jednak bardzo gęste wśród badaczy umiejętnych zapatrywania się. Góruje nad niemi trzecie stanowisko, które autor „ściśle filozoficznem“ nazywa, stanowisko *a totali*. Łączy ono empirję i spekulację z sobą. „Nie na zjednoczeniu się ze wszech światem, ani na zjednoczeniu się z duchem bezwzględnym, ale na zjednoczeniu się z człowieczeństwem i Bogiem gruntuje się poznania, a z niem umiejętności prawdziwość“. (T. I. st. 39).

Encyklopedje pierwszego stanowiska są bez systemu. Są to słowniki nauk i umiejętności, wedle abecadła ułożone. Obraz wyborny encyklopedji spekulacyjnej podał Aleksander Zdanowicz, profesor uniwersytetu Wileńskiego. Wszakże jest to system widzeń jednostkowego ducha, pożerający przedmiotową duchowość. Bo w każdej myśli przedmiotowej, ogląda myślący subjekt myśl własną, i uważa ją jako własność swojego jednostkowego ducha. Na tę anomalję cierpią wszystkie spekulacyjne encyklopedje. Dopiero na trzecim, filozoficznym szczeblu zapatrywania się na rzeczy, zdobyć można prawdę absolutną, będącą zjednoczeniem „z człowieczeństwem i Bogiem“. Empirykami są Francuzi, spekulacyjnymi są Niemcy; trzecie stanowisko filozoficzne wygłasza filozofja polska.

Niebo i ziemia, Bóg i świat, stanowiły zawsze dwa wielkie działy badań naukowych. Syntezą obydwóch jest filozofja. Nauki i umiejętności rozstępują się zatem na trzy olbrzymie powiaty: na „teologję“, czyli naukę o Bogu, niebie i tamecznym świecie; na „kosmopeją“, czyli naukę o wszechświecie, czyli żywocie tutecznym, i na „filozofję“, będącą wewnętrzną, transcendentalną, pierwiastkową jednością tego wszystkiego, czego teologja i kosmopeja poucza. „Filozofja, to królowa wszech nauk i umiejętności, kapłanka z niebios, otrzymująca od Boga samego namaszczenie. Ona idzie ciągle naprzód i wiedzie za sobą człowieczeństwo w przygotowaną dłań od sternika przedwiecznego przyszłość. Ona futuryzm, wcielający się już w słowo, mające stać się ciałem, a w ręku jej wszech postęp. Wszystkie nauki i umiejętności postępują, gdy ona postąpi“. (Tom I. str. 57.)

Umiejętność starożytna zajmowała się wyłącznie „tym światem;“ „Bogowie trzymają się góry Olimpu, a wiary wszystkie przyrodzenia“. (T. 1. str. 86.) Średnie wieki pochwyciły za „tamten świat“ i uprawiały teologję. Oba te światy pogodzić się nie dały. Chrześcijaństwo istniało na zewnątrz, ale nie było go wewnątrz. Od trzech wieków zaczęto znowu uprawiać nauki tu światowe, by zostać świata tego znawcą i panem. Rozwielmożył się panteoizm starożytny. Potrzeba nawrotu, jaki daje nowoczesna filozofja słowiańska, której stanowisko dla tego jest „mesjaniczne.“

W Panteonie porządkują się nauki najprzód wedle empirycznego, następnie wedle spekulacyjnego stanowiska. Przoduje im teologja, obejmująca nauki, odnoszące się do „tamtego świata“. Następuje kosmopeja, przedstawiająca nauki i umiejętności wszystkie, odnoszące się do „tego świata“. Pod względem „treści realnej“ mamy nauki przyrodzone, lekarskie i prawnicze; pod względem „treści idealnej“ zyskujemy metafizykę, psychologję i antropologję. Wszystkie

te działy naukowe z ich licznemi podrzędnemi odnogami, stanowią objątek pierwszego tomu Panteonu.

Drażliwym może być dla niejednego czytelnika pogląd autora na teologię, tak pod względem propedeutyki, mającej na celu przeobrazić przeświadczenie świeckie, w przeświadczenie duchowne, jak pod względem teorji i praktyki kościelnej, tudzież dziejów kościelnych, na które się właściwa teologia rozpada. Zapatrywanie się autora jest rozumowe, ale jest oraz czysto religijne. Nie należy on ani do deistów, ani do panteistów, jest i owszem gorącym wyznawcą osobowego w trójcy świętej pojętego Boga, naucza o nieśmiertelności duszy i o żywocie wiecznym. Przyjmuje i pojmuje wielkie, dziejowe i społeczne znaczenie kościoła, w pierwszych i w średnich wiekach chrześcijaństwa; w tym tylko odbiega od jego nauki, że w postępie oświaty i umiejętności widzi równe objawienie się Ducha św. jak w religji, jest zatem zwolennikiem postępowego, a nie stwargłego na opokę kościoła i ztąd dąży do jedności tak wiary, jak umiejętności. Piękną i rozczulającą jest modlitwa, którą zakończa wstęp swój do Panteonu. Czuć tu głęboką jego wiarę ale oraz i pokorę: „Teraz nakoniec zwracam się ku Tobie, Ojcze nasz, Boże! Gdy zapuszczę oczy w głębokości pełnego gwiazd nieba i oglądam palące się na niem rozległe, nieprzeliczone światy, w obec których ziemia, a matka nasza, lichym i maluczkim jest tylko zaściankiem; gdy duszą widzę po wszystkich tych wyspach złotych mieszkające człowieczeństwa różnostopniowego rozwoju i znaczenia, pospołu z wiedzą i umiejętnością swoją; gdy pomyślę, żeś tę niezmierność stworzył i rozwiesił tak spaniale: czuję Twą wielkość, a własną maluczkość; czuję żywo i ze wstydem, żem ziemski, nędzny, podły robaczek! Padam na kolana, a przejęty aż do szpiku mych kości nie wypowiedzianym dreszczem, korzę się przed Tobą i modlę się do Ciebie.“

„Ale Ty, Ojcze miłościwy, ruszywszy się w mej piersi i łysnąwszy we mnie światłości Twej łyskawicą, podnosisz mię rychło. I czuję, żeś we mnie *sam!* I czuję, że we mnie *nieskończoność istna*, szersza bez miary, niż na gwiazdowem, wszędy mi granice pokazującem niebie. I czuję w sobie prawdziwą, dłuższą od bezpoczątkowego i bezkońcowego czasu, szerszej, niż w bezmiarze gwiazd *wieczność*. I czuję, żem całego istnienia tego jedno ognisko i przeświadczenie, że ono wszystkie jest we mnie! I czuję, żem zacniejszy i większy, niż całe wojsko tych ogromnych światów. A doznaję niewypowiedzianego zbawienia, i wdzięczności pełen, modlę się do Ciebie wesela duszy hejnałem.“

„Gdy atoli pomnę, że wielkość ta moja li ztąd pochodzi, iż Ty, o Panie, we mnie jesteś i myślisz; że ona nie moja, lecz Twoja; pycha moja zamienia się wnet w pokorę. I ja, robaczek ziemski, rzucam się znowu na kolana, a w rzewnej modlitwie czynię Ci dzięki gorące, żeś we mnie wstąpił i zrobił jednym z Twych ołtarzy.“

„Panie! Łaska Twoja na mnie widoma. Robisz mię Twym językiem i prawdy Twej kapłanem. Dałeś mi nowe myśli, przyszłością brzemienne i kazałeś mi je wypowiedzieć, jak to uczyniłem. Daj mi przeto i siły do dalszego ich roztoczenia w dziele, aby ku czci i chwale Twej, przekonały i zdobyły dzisiejszy świat, a przyczyniły się do jego zbawienia.“

„Dałeś mi o Panie, miłość, a oderwałeś mnie i rzuciłeś daleko od kochania mojego! Spraw tedy, aby praca moja dostała się do kochania mojego, a przyniosła mu, drogiemu narodowi, pożytek i swobodę, mądrość, potęgę i chwałę! Spraw to, Panie, nie przez wzgląd na mnie i tęsknice moje, ale przez wzgląd na krzyżowe męki i koronę jego cierniową! Amen.“ (T. I. str. 103). (C. d. n.)

Ze świata muzycznego.

(*Fryderyk Chopin i utwory jego muzyczne*, przez M. A. Szulca. Poznań u J. K. Żupańskiego 1873 r.)

Jeśli gdzie to w Polsce trzeba być wielkim genjuszem, aby nie być zapomnianym, mianowicie w tych burzliwych czasach. Do takich genjuszy należy bez wątpienia Chopen. Chociaż zmarł przed 25 laty (r. 1849) ciągle, bądź w czasopismach, bądź w osobnych broszurach i dziełach pojawiają się o nim rozprawy, badania, biografje. Nawet sławny Liszt wydał r. 1852 po francuzku o Chopenie rozprawkę, którą dopiero roku zeszłego przetłumaczono na język polski. Lecz zdaje nam się, że nikt lepiej, dokładniej i bardziej wyczerpująco nie mówił o życiu i dziełach największego naszego muzyka, jak Szulc, nauczyciel przy gimnazjum w Poznaniu, w pracy, z której zdajemy sprawę. Rozpada się ona na dwie części. W pierwszej wspomina autor o pochodzeniu i rodzinie Chopena, o pierwszych latach przyszłego wirtuoza i wycieczkach za granicę. Następnie opisuje wyjazd jego z kraju, przybycie do Paryża, pobyt tamże; dalej znajdujemy charakterystykę Chopena jako nauczyciela muzyki i improwizatora, a następnie opis podróży do Niemiec, Anglji i Hiszpanji, choroby i zgonu artysty. W końcu części pierwszej, daje Szulc wyborną krytykę utworów Chopena, mianowicie: ballad, polonezów, mazurów (których zostawił 54), notturn, etudów, sonat i walców. Krytyka jest tego rodzaju, że nie tylko muzyk z powołania czyta ją z przyjemnością, lecz nawet zwyczajny miłośnik muzyki nie mało się z niej nauczy. Szczególnie nasze panie, między któremi mamy nie mało wielbicielek Chopena, powinneby dzieło Szulca uważnie odczytać, aby utwory Chopena lepiej zrozumieć i dokładniej potem wykonywać. Ponieważ w osobnym rozdziele (XI) znajdujemy przytoczone różne edycje i numeryczny spis dzieł Chopena, na które autor powołuje się w swoich ocenach, przeto czytelnik dowiaduje się, które utwory chopenowskie najpiękniejsze i najsławniejsze, co dla miłośników z niemałą jest połączone korzyścią, gdyż bez takiego przewodnika trudno zorjentować się wśród 80ciu numerów dzieł narodowego kompozytora.

Część druga pracy Szulca zawiera dodatki i uzupełnienia, mianowicie: ustępy z pamiętników pani Georges Sand, z którą jak wiadomo, Chopena łączyły ścisłe stosunki, życiorys Fontany, przyjaciela Chopena, życiorys A. Wojkowskiego, illustracje poetyczne Kornela Ujejskiego, powieść o przygodzie Chopena p. t. *Trzy salony*, wyjęta z *Gartenlaube*. Wiersz Wolskiego *Fryd. Chopen*, w końcu urywki z listów Chopena, autograf jednego listu i autograf muzyczny. Miłe i nader przyjemne dla czytelnika polskiego są opowiadania o wyszczególnieniach, jakich Chopen doznawał na dworach panujących, o jego zażyłościach z pierwszymi wirtuozami Europy (Liszt, Bellini, Mayerbeer, Mendelsohn, Moszeles, Kalkbrenner, Hiller i wielu innych) i pochlebnych o nim wyrażeniach tych ludzi. Tak n. p. na stronicy 187 czytamy, że Szumann, jeden z najsłynniejszych i najgłębszych muzyków nowoczesnych, uważał notturny Chopena op. 27 za nieskończone wzory doskonałości, wyrażając się o nich w swoich *Gesammelte Schriften* Lipsk, r. 1871 tom I. str. 187, w ten sposób: „Ani myślę zeprzeczyć, że dwie nowe notturny Chopena, *Cis-Mol* i *Des-dur*, ustawicznie mnie zajmują. Te notturny, równie jak wiele innych chopenowskich uważam, obok utworów Fielda, za idealny wzór doskonałości kompozycji tego rodzaju, za najprzedniejsze i najczulsze dzieła muzykalne.“ Na str. 122, przytacza Szulc słowa Henrietty Vogt, utalentowanej artystki, pisane d. 13. września r. 1836: „Był tu wczoraj Chopen i grał pół godziny fantazje i nowe swoje etudy. Zajmujący człowiek a jeszcze więcej zajmująca gra jego; na mnie dziwne ona sprawiła wrażenie. Drażliwość i fantastyczność jego mimowolnie udziela się słuchaczowi. Oddech wstrzymywałem. Cudowna jest lekkość z jaką te aksamitne palce mkną, rzekłabym latają po klawiszach. Wprawił mnie, wyznaję, w takie zachwycenie, o jakiem dotychczas pojęcia nie miałam. Nadewszystko zaś ciezszyła mnie niewymuszona, dziecięca naturalność w grze i w obejściu tego artysty.“ Spora broszura Liszta o Chopenie, z której wiele ustępów Szulc wcielił do swego dzieła, jest jednym panegirykiem naszego ziomka. Meyerbeer, słysząc Chopena grającego mazura *C-dur* (opus 33) prosił go, aby mu ustąpił ten motyw do baletu w Hugenotach, nad któremi wówczas pracował. Cały Paryż nie nazywał Chopena inaczej jak *Le grand artiste*. Słynna śpiewaczka Catalani, zachwycona grą młodego artysty w Warszawie roku 1820, ofiarowała mu zegarek z wyrytym na kopercie napisem: „*Donnée par madame Catalani a Frederic Chopin, agé de dix ans.*“ Znakomity wirtuoz i metr muzyki Schulhoff, zawdzięcza Chopenowi swoje wykształcenie i powodzenie. Lenz opowiada w nowej berlińskiej gazecie muzycznej w r. 1868, że Liszt mawiał o mazurach Chopena, iż mogą je grać tylko pierwszorzędni artyści. Henzelt, jeden z pierwszych wirtuozów żyjących, nie wahał się przyznać, że siedm lat wprawy potrzebował, zanim należycie wygrał drugą etudę Chopena, (opus 10). Pani Georges Sand zaręcza, że na wyspie Majorka, gdzie w towarzystwie z nią Chopen jednę zimę przepędził, gra jego prostego wieśniaka w zachwyt wprawiała. Wieśniak stawał za krzesłem grającego i z rozwartemi usty, z oczyma w artystę utkwionemi, z wyrazem zdumienia na twarzy, przysłuchiwał się muzyce. H. Heine pisze o Chopenie: „Chopen słynie nie tylko z technicznej doskonałości, lecz niemniej jako kompozytor stojący na najwyższym szczeblu. Obdarzyła go natura postacią wiotką, wdzięczną i pełną powabu, sercem najszlachetniejszem i genjuszem. Tak jest, genjusz Chopenowi w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu przyznać należy; jest on nie tylko wirtuozem ale i poetą; umie poezję, którą dusza jego wskróś przejęta, na jaw wydobyć i w tony wcielić. Jest on poetą w tonach i nic nie wyrówna roskoszy, jaką nas wtedy napawa, gdy siedzi przy fortepianie i improwizuje. Nie jest wówczas ani Polakiem, ani Francuzem, ani Niemcem; pochodzenie jego jest wyższe. Jego ojczyzną rzeczywistą jest ojczyzna Mozartów, Rafaelów, Goetych, kraina marzeń i zachwytów poetyckich.“ Hejne to nadał Chopenowi przydomek *Rafaela muzycznego*. Liszt opisując zebranie poufałe u Chopena w Paryżu, przy ulicy Chausée d' Antin l. 5, wyraża się w końcu: „Tamto gromadził się koło niego wybór artystów, którzy chętnie i kornie przed nim czoła schylali, jak władzcy państw rozległych przychodzący uczcić jednego ze swoich.“

Gdy w r. 1839 Moszeles z Londynu przyjechał do Paryża, obydwa t. j. Moszeles i Chopen grali w St. Cloud w familijnem kole króla Ludwika Filipa. Moszeles opisując ów wieczór i zebranie rodziny królewskiej *en petit comité*, dodaje, że „naprężoną uwagę królewskiego słuchaczów grona przerywały tylko wykrzyki: *divin, deli cieux!* Po andante szepnęła królowa do jednej z dam dworskich: *Ne serait il pas indiscret de le leur redemander?* W Dreznie, gdzie pierwszy koncert Chopena nie był dobrze przyjęty, natura bowiem nie obdarzyła go zdolnością występywania przed zbyt liczną a niedobraną publicznością, nie chciał za drugą tamże bytnością, grać na pokojach króla saskiego, mimo nader uprzejmych zaprosin. Nie usłuchał także prośb posła rosyjskiego w Paryżu, aby się przeniósł do Petersburga, gdzie car Mikołaj chciał go zrobić pierwszym swoim nadwornym pianistą. Prócz wiadomości w rodzaju powyższych, spotykamy w dziele Szulca wiele anegdot o Chopenie, które są równie ciekawe jak zajmująco opowiedziane. Piękną tę książkę, napisaną językiem poprawnym, możemy dla jej rzadkiej wartości, szczerze polecić szerszym kołom czytelników polskich.

A. S.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Histoire de la Suerre Civile en Amérique. par M. le Comte de Paris.* Paris, Michel Lévy 1874 vol. I. II.)

W pierwszej części, znakomitego dzieła o Amerykańskiej wojnie, ogłoszonego drukiem, naczelnik orleańskiej rodziny, służący osobiście w armji Stanów północnych, pod jenerałem Mac Clellan, świetne złożył dowody swego talentu i wszechstronnego wykształcenia.

Jeżeli Fenelon w swym Telemaku miał zamiar, ucząc Delfina, pokazać narodowi, w jakich zasadach będzie wychowany król przyszły, to Hrabia Paryża usiłował w ogłoszonem dziele zdać egzamin przed Francją i Europą, ze swego rozumu, zasad politycznych i społecznych, znajomości sztuki wojskowej i administracji. Egzamin ten wypadł świetnie, na korzyść postępowych idei, któremi Orleani od dawna umieją tak zręcznie walczyć i zawsze pobijać nieprawnych a upartych Burbonów.

Ostatnia praca Hrabjego Paryża — O stowarzyszeniach handlowych, pomimo wysokiej wartości, nie zwróciła na siebie takiej uwagi, jaką powinno zwrócić dzieło, skreślone ręką kandydata do tronu: lecz za to, w historyi wojny cywilnej amerykańskiej królewski autor zdobył sobie wielkie uznanie.

Śmiało możemy powiedzić, że ani jeden z dziennikarzy północnych Stanów, w swych poglądach nie jest tak anty-południowym jak hr. Paryża. Od pierwszego do ostatniego wiersza w obydwóch tomach, które mamy przed sobą, polityczna tendencja jest republikańska, przeciwna niewoli. Potępia on politykę i instytucje południowych Stanów, podnosząc je natomiast w Stanach północne przyznają pierwszym tylko prawdziwy patryjotyzm, w ciągu całej wielkiej i długiej walki.

Początek dzieła zaczyna się poglądem na system angielskiej milicji, na wzór której prowadzone były początkowe uzbrojenia amerykańskich kolonji, dalej rozbiera autor urządzenie szkoły wojskowej w *West-Point* i jej wpływ na formację armji amerykańskich. Powolność jenerała Mac-Clellan, tłumaczy wojną meksykańską i wojnami w Indjach; następnie autor przechodzi do kwestji politycznych, rozbierając niewolnictwo, instytucje południowych Stanów i ogólne wybory, którym Linkoln zawdzięczał wyniesienie swoje na prezedenta. — W dalszym ciągu trzy rozdziały poświęcone są ochotnikom federalistów i wpływowi tak linji kolei żelaznych, jak rzek, na działanie wojenne, po czem rozpoczyna się opisanie bitw samych.

Dział o niewolnictwie, w którym znajdujemy słowa, jako przycinek do rządów Napoleona „Luisiana nikczemnie sprzedana (*lâchement vendue*) przez Francje“ — napisany tonem poważnym i ostrym, zasługuje dla swej doniosłości, by, czytelnicy nasi obznajomili się z nim w głównych przynajmniej zarysach. Oto co pisze hr. Paryża:

1) W miarę jak z utrwaleniem systemu niewolnictwa, wzrastano w dobrobyt i władzę, wpływ jego stawał się coraz potężniejszym w społeczeństwie, które go przyjęło. Podobnie ak pasożyt wciągający w siebie wszystkie soki żywotne z najpotężniejszego drzewa, pokrywa je zwolna obcą zielonością i owocami zatrutemi tak i niewolnictwo psuło coraz bardziej obyczaje Południa i ducha jego instytucji.“

„Formy swobody istniały, praca zdawała się wolną, rozprawy zgromadzeń były burzliwe — każdy chełpił się swoją niezależnością. Lecz za to duch prawdziwej swobody, tolerancja względem mniejszości i uszanowanie opinji każdego, znikły zupełnie. Pod obłudnemi pozorami wolności, ukrywał się despotyzm nieubłaganego pana — utrzymanie niewolnictwa, pana, w obec którego najpotężniejszy właściciel murzynów, był także niewolnikiem uległym, jak ostatni z jego robotników. Nikt nie miał odwagi zaprzeczyć prawowitości istnienia niewolnictwa, i jak Eumenidy, których starożytni bali się obrazić wymawianiem ich imienia, tak wszędzie gdzie system ten panował, nie śmiano nawet wymówić jego nazwiska, z obawy dotknięcia najbardziej piekącego przedmiotu. Tylko na warunkach tych podobna instytucja mogła się utrzymać w społeczeństwie zamożnem i wykształconem. Dzień w którymby wolno było rozprawiać o tej instytucyi, byłby bez wątpienia dniem jej śmierci. To też, pomimo pretensji liberalnych, południowcy nie cofali się przed żadnym gwałtem dla stłumienia w samym zarodku, każdej dyskusji nad tym przedmiotem. Ktokolwiek pozwoliłby był sobie ganić niewolnictwo, chociażby w sposób najumiarkowańszy, nie mógłby dłużej żyć na południu. Dostatecznem byłoby wskazać palcem cudzoziemca, nazywając go nieprzyjacielem niewolnictwa, (*abolitioniste*) ażeby go oddać na pastwę rozwścieklonego pospólstwa“.

O armji południowych Stanów czytamy co następuje:

„Żołnierze Konfederatów pod względem inteligencji i wyrobienia stali niżej od Północnych. Ludność Stanów południowych rozpadała się na wybitne klasy, w których wyższe tylko towarzystwo korzystało z dobrodziejstw oświaty, podczas gdy reszta nie miała najmniejszego wykształcenia. Na północy wykształcenie elementarne było ogólne, nieświadomość zaś zupełna panowała po największej części między mieszkańcami Stanów niewolniczych. Stanowczą tę różnicę tablice statystyczne z 1860 roku potwierdzają w sposób uderzający: tu też należy szukać przyczyn ostatecznego wyniku walki, gdyż narodowościami prawdziwie silnemi nie są te, które posiadają kilku znakomitych ludzi, lecz te, których wyższość stoi wyżej pod względem moralnym i intelektualnym. W tornistrach żołnierzy konfederatów znajdowano karty do grania, zamiast książek i papieru listowego, a używanie gorących napojów daleko więcej było rozpowszechnione pomiędzy nimi, jak u federalistów. W południowej armii nie było także wykształconych rzemieślników różnych zawodów; pułki federalistów dostarczały z własnych szeregów obsługi, potrzebnej do przebudowania kolei żelaznych, naprawiania lokomotyw, i kierowania pociągami, tymczasem konfederaci musieli nieraz używać ludzi z Północy, których brano przemocą, a w braku ich powierzać ważne czynności własnym oficerom, których niedoświadczenie drogo opłacali. Nakoniec dla białych, wychowanych w pogardzie pracy ręcznej, zawód żołnierza, jak go dawniej uważano, należał do rzemiosł szlachetnych. Czuł się więc każdy z nich poniżonym, gdy mu kazano kopać ziemię i dla tego często odmawiano posłuszeństwa przy sypaniu okopów, które w wojnie tak ważną rolę odgrywają... Piechota konfederatów, łatwiej dająca się kierować i prędzej się roznamiętniająca, aniżeli wojska północnych, rzucała się do szturmu z dzikiemi okrzykami, zdobywając często w ten sposób ważne pozycje, których federaliści z równą odwagą nie mogliby opanować. Lecz z drugiej strony, nie mając ani cierpliwości, ani wytrwałości Północnych, konfederaci daleko słabiej dotrzymywali placu pod morderczym ogniem“.

Bitwy i działania wojenne opisane w pierwszych dwóch tomach są następujące: Ruchy i starcia pod Bull's Run — wojna w Missouri, i kapitulacja Lexington'a — wojna w Kentucky — bitwa pod Bulls-Bluff, — działania wojenne na wybrzeżu pod Charleston w roku 1861, przy Hilton, Head i Port Royal — oraz kapitulacja portu Donelson i wojsk znajdujących się przy forcie, jenerałowi Grand. Dalej bitwy pod Sea Ridge, Pittsburg, Landing i Shiloh, jak również potyczka morska pod Champton Roads.

Najważniejszą częścią dzieła, bo najwięcej zajmującą i pouczającą jest opisanie usiłowań jenerała M'Clellan'a, około wyćwiczenia i wprowadzenia karności w wojsku północnem, po klęsce pod Bulls Run, jak nie mniej opisanie działań Granta pod fortem Donelson i w bitwie pod Schiloh. Ta ostatnia była pierwszą z tych strasznych rzezi, któremi potem wsławiła się wojna amerykańska. Sławna ta bitwa, bez stanowczego rezultatu, trwała dwa dni. Wojskami Północy dowodzili Grant, Sherman, i jenerał Levis-Valace; wojska konfederatów (Południowi) prowadzone były przez Alberta Sidney Johnstona. — Johnston zginął, Vallace był raniony, a z ośmdziesięciu tysięcy ludzi obu armii pomimo że nie wszyscy wzięli czynny udział w boju, naliczono 24 tysiące w zabitych i rannych.

Pod względem militarno-technicznym najwięcej interesującem jest opisanie działań przy forcie Donelson, wykonanych naukowo, w których Grant rozwinął system użyty później z takiem powodzeniem przy Wicksburg i przy samym Richmondzie.

Kończymy nasze sprawozdanie wynurzeniem przekonania, że praca ta jest najlepszą historją wojny amerykańskiej — i dla tego powinna być czytana z uwagą przez każdego wojskowego, męża politycznego i organizatora, zapozna się bowiem w książce tej ze śmiałością twórczych pomysłów, ze sposobami użytemi do ich wykonania, z energją w prowadzeniu wojny ludowej a w końcu z głęboką nauką. Gdyby Polska w 1863 roku zdobyła się była na połowę tej przedsiębiorczości, co Stany Północne Ameryki w tym samym czasie, to nawet przy tak słabych zasobach, jakie miała do rozporządzenia, zwycięstwo mogło się przeważyć na jej stronę, jeźliby tylko mocarstwa ościenne pozwoliły jej były walczyć z Moskwą w dwójkę, same się nie mieszając. Nauka jednak zawsze jest jedna, a dla tych, którzy się chcą uczyć, nigdy nie jest zapóżno; przyszłość do każdego należy.

Przed dwoma laty jeden z Książąt polskich, połączył się z rodziną Orleanów, ścisłością związków familijnych. Niewątpimy, że książe, który, robiąc niespodzianki żonie, opłaca po stu spiewaków do odspiewania jednego walca, zrobi daleką większą i trwalszą przyjemność swemu królewskiemu kuzynowi, tłumacząc jego dzieła, na język nasz rodzinny. Za tę przysługę wdzięcznym mu także będzie naród polski, którego jest obywatelem. Tego się spodziewamy po prezesie polskiego towarzystwa literackiego w Paryżu.

Paryż d. 10. Sierpnia 1874 r.

T. D.

Korespondencja „Tygodnia.“

Kraków 28. sierpnia.

Gdyby się mnie zapytano, jaka w tej chwili jest fizjognomja Krakowa, byłbym zmuszony odpowiedzieć, że Kraków nie ma teraz żadnej fizjognomji. Jest to doroczna epoka wyludnienia i rozjazdów, podczas której tętna pulsów naszego grodu, uderzają jeszcze powolniej niż w normalnym jego stanie. Nie ma szkół, nie ma sceny, mnóstwo osób prywatnych opuściło miasto, stowarzyszenia nie odbywają posiedzeń, nawet Rada miejska rzadko się zbiera, a w lokalach towarzystw rozrywkowych, nawet w kawiarniach i restauracjach — pustkowie. Tylko w hotelach ruchu więcej niż zwykle, bo Kraków jest jeszcze miastem, w którem ludzie przejeżdżający w różne strony zatrzymywać się muszą, chociaż z biegiem czasu, a raczej z pomnożeniem sieci kolei żelaznych, straci i ten przywilej, a nawet już go w części utracił od chwili, gdy koleją łupkowską dostać się można z wschodniej Galicji do Pesztu, nie zatrzymując się w Krakowie. Dzięki temu importowanemu ruchowi przejezdnych, na ulicach, mniej także ludnych w tej epoce niż zazwyczaj, spotkać się można z twarzami przybyszów, po największej części Kongresowiaków, których, gdy się ukażą na wstępie z rynku w ulicę Grodzką, otacza zaraz liczny szereg wekslarzy, umiejących po ubraniu bez omylki odgadnąć kto ma ruble albo talary do zmieniania. Dzięki temu importowanemu ruchowi handle, szczególniej także importowane ze Stradomia na ulicę Grodzką, oraz pozostałe w tradycyjnym obrębie Stradomia, nie mogą się uskarżać na brak odbytu, który po części, nie tak przecież obficie jak to dawniej bywało, udziela się i księgarniom.

Zwykłą doroczną ciszę letnią powiększyła jeszcze w tym roku zmiana prezydentury. Od chwili zrzeczenia się godności prezydenta przez dra Dietla, aż do objęcia władzy przez jego zastępcę dra Zyblikiewicza, nie zabierano się do żadnej ważniejszej pracy, nie rozpoczynano żadnych robót, których pełno jest w projektach, słowem odkładano wszystko aż do ustalenia się rządów w magistracie. Obecnie gdy nowy prezydent objął urzędowanie, potrzeba mu czasu, żeby się rozpatrzył we wszystkiem, miasto więc nie przystępuje do żadnych zamierzonych prac, w nadziei że w roku przyszłym podwojona energja nowego burmistrza wynagrodzi to, co zostało straconem przez dotychczasową nieporadność i stagnację.

Dziś już jednak można powiedzieć, że krakowska *saison morte* zbliża się do końca. Letnia emigracja zaczyna wracać powoli w mury miasta, na niedzielę mamy zapowiedziane zgromadzenie obywateli pragnących zawiązać stowarzyszenie w celu przyjścia w pomoc tym, którzy skutkiem rozwiązania Towarzystwa Opieki narodowej we Lwowie pozostaną bez opieki i pomocy, — w przyszłym tygodniu we wtorek lub we czwartek teatr rozpocznie kurs zimowy, gościnnemi występami pani Rakowiczowej. — Wakacje się kończą i na wszystkich prawie domach czytać można nie-

zawsze ortograficzne proklamacje, wzywające pp. studentów na „stancję, wikt i prawdziwie rodzicielską opiekę za umiarkowaną cenę“, — z początkiem nowego kwartału zapowiedzianem jest wydawnictwo dwóch nowych pism, są to wszystko wskazówki zapowiadające rozbudzenie się miasta ze zwykłego letniego letargu.

O zamierzonem stowarzyszeniu, mającem zapobiedz złemu, które skutkiem rozwiązania Towarzystwa opieki narodowej nieuchronnie musiałaby się objawić, nic więcej naprzód powiedzieć nie można, oprócz uznânia potrzeby i pożytku tej myśli. Jest prąd silny, żądający aby nowe stowarzyszenie uorganizowało się w ten sposób jak Stowarzyszenie sybiraków, które i w mieście naszem i w całym kraju bardzo piękną pamięć po sobie pozostawiło. W Towarzystwie Sybiraków cała działalność skupiała się w komitecie, a w imieniu komitetu miała otwarte bardzo szerokie pole działania jedna osoba, to jest jego prezes, którym był p. Wiktor Bylicki. To też co to Towarzystwo dokonało, najwięcej p. Bylickiemu zawdzięczać należy i jeżeli nowe stowarzyszenie ma być uorganizowane w podobny sposób, to musi mieć na swojem czele, choćby zresztą nie nominalnie ale faktyczeie, kogoś, ktoby chciał i był zdolnym działać równie energicznie spężyście i niezmordowanie jak były prezes sybiraków. Kwestja znalezienia takiej osoby jest kwestją życia lub śmierci stowarzyszenia, jeżeli ma ono być uorganizowane w ten sposób już doświadczony, lecz tylko pod tym jednym warunkiem praktyczny. Przekonamy się w krótce czy nowe stowarzyszenie znajdzie takiego działacza, czego mu zresztą najserdeczniej życzymy.

W innem stowarzyszeniu krakowskiem, które ma dosyć urozmaiconą historję i było dość głośnem w swoim czasie, obecnie jednak nie jest wolnem od troski o swój byt, objawiły się także dążności reformatorskie. Mówimy tu o Postępie, który jest rodzajem resursy rękodzielników i przemysłowców. Zwykła a przynajmniej częsta w takich towarzystwach tendencja niedopuszczania do przewagi inteligencji objawiała się tam nieraz dosyć silnie, i była powodem, że znaczna część inteligencji zaczęła stronić od Postępu, ogłaszając to towarzystwo za „zdyskredytowane“. Okazało się jednak, że Postęp o samych siłach rękodzielników i przemysłowców istniećby długo nie mógł, i zaczęto myśleć znowu o przyciągnięciu tego niekiedy trochę po macoszemu traktowanego żywiołu. Zaczęto traktować z Towarzystwem strzeleckiem o rodzaj przymierza, czy małżeństwa cywilnego bez wspólności majątkowej, a ze wspólnością co do stołu i lokalu jedynie w porze zimowej. Towarzystwo strzeleckie objawiło chęć przyzwolenia na te propozycje, ale jako majętne, oparte na dość silnej finansowej podstawie, uważało że może dyktować warunki, z których pierwszym i stanowczym było żądanie, ażeby Postęp zmienił swą nazwę i statuta. Wiadomo, że we wszystkich małżeństwach zwykle ta strona, która jest pieniężniejszą, dyktuje umowę przedślubną, jest więc bardzo prawdopodobnem, że Postęp zgodzi sią na wszystko i przyjmie projektowaną nazwę „Resursy dawnej“, pomimo, że humoryści nie zaniedbają zapewne skorzysteć z tego wyparcia się pierwotnego, a tak pięknego i tak wymownego godła. Mojem zdaniem przecież, gdy w Krakowie nie ma ogniska, w którem zbliżaćby się z sobą mogły rozmaite warstwy społeczne, i gdy takie ognisko nieodbicie jest potrzebnem, należałoby nie przywiązywać wagi do tej renegacji pozornej, i ocalić raczej instytucję niż wyraz.

Co do teatru, nie wiadomo mi jeszśze, jakie nowości ukażą się na scenie, wiem tylko, że wraz z p. Rakiewiczową ujrzymy rzeczy dawno niewidziane, a mianowicie: „Deborę“, „Barbarę Radziwiłłównę“ Felińskiego, „Szermierza z Rawenny“, „Drahomirę.“ Zobaczymy także nowych artystów, któremi dyrekcja skompletowała przerzedzony cokolwiek w ostatnich czasach personal teatralny.

Co do zapowiedzianych pism wreszcie, a mianowicie co do „Dnia“ i „Przeglądu krytycznego“, tyle tylko wiemy, że „Dzień“ dotychczas nie oznaczył jeszcze czy będzie wcześniejszym czy późniejszym dniem od 1. października, a że pisma codziennego wielkich rozmiarów nie można zaimprowizować naprędce, więc się obawiamy czy się nie spóźni, — „Przegląd krytyczny“ zaś pod redakcją drów Blumenstocka, Bobrzyńskiego i Zakrzewskiego niezawodnie w październiku zeszytami miesięcznemi wychodzić zacznie.

Wł. Sabowski.

Ze świata naukowego.

Angielskie „Stowarzyszenie ku pielęgnowaniu nauk“ rozpoczęło 19. sierpnia rb. doroczne swoje zgromadzenie w Belfast, pod przewodnictwem profesora Tyndalla. Ażeby ocenić, jak wielkie zajęcie obudzają w Anglii rozprawy tego stowarzyszenia, dość jest powiedzieć, że „Times“ poświęcają dziewięć olbrzymich szpalt mowie inauguracyjnej prezydenta, a artykuły wstępne wszystkich pism politycznych zajmują się wyłącznie tym przedmiotem, jak gdyby chodziło o jakie niezmiernie ważne zdarzenie polityczne. Uwaga powszechna z każdym rokiem pilniej się zwraca ku czynnościom tego stowarzyszenia, które zrazu występywało skromnie i nieśmiało, mając do walczenia z duchowieństwem i ze zwolennikami spiritualizmu w ogóle, obecnie zaś wyrobiło sobie nader silną pozycję i stało się rodzajem świątyni nowoczesnego pogaństwa, opartego na hypotezie materjalistycznej. Rady municypalne wszystkich większych miast W. Brytanii i Irlandji ubiegają się usilnie o zaszczyt, by zgromadzenia doroczne odbywały się w ich murach, a miasto, któremu to się dostanie w udziale, przyjmuje członków Towarzystwa z jak największą gościnnością. Ratusz stoi otworem dla posiedzeń, o bilety wstępu, jakkolwiek drogie, toczą się formalne walki, modne damy długiemi godzinami słuchają uczonych wykładów, które potem w całej swojej rozciągłości telegrafowane bywają dziennikom i skwapliwie drukiem ogłaszane.

Najważniejszą bywa mowa inauguracyjna prezydenta, ponieważ zadaniem jej jest przedstawić w popularnej formie postępy wiedzy ludzkiej zrobione w ciągu roku — niemniej jak śmiałe hypotezy, stawiane na tych zdobyczach nauki, przez tak zagorzałych materjalistow jak Tyndall, Herber, Spencer, Wallace, Darwin, Maxwell, Williamson i inni. Nie da się zaprzeczyć, że obok rzeczywistego pożytku dla nauki, Towarzystwo służy propagandzie ateizmu i materjalizmu jak najskrajniejszego.

Tegoroczna mowa prof. Tyndalla obejmowała pogląd na początek świata, a pogląd ten scharakteryzujemy najlepiej własnem twierdzeniem mowcy iż „należy powrócić do pogaństwa greckiego, i z tego punktu wyjścia prowadzić badanie, niezaćmione późniejszemi systematami filozoficznemi“.

Tyndall dowodzi, że starsza filozofia grecka pojmowała „materję“ jako coś nieulegającego nigdy zniszczeniu, a więc, przypisywała jej nieśmiertelność. Nowoczesna analiza chemiczna podniosła to pojęcie do rzędu pewników — chociaż ośmielimy się dodać, że analiza chemiczna udowodniła niespożytości materji jedynie w stosunku do sił już znanych i zbadanych, i w stosunku do czasu pamięcią ludzką objętego, nie wynika więc z analizy tej bynajmniej, by wieczna trwałość materji była udowodnioną. Tyndall uwielbia naukę Empedokla, Lukrecyusza i Epikura o atomach, i obok niespożytości materji stawia jako drugą wielką prawdę to, iż wszechświat powstał z atomów. Atomy więc, czyli niedziałki, przyjęte tu są jako coś już nietylko w przyszłości wiecznego, ale także odwiecznego, jednem słowem, przypisana im jest ta własność, którą spiritualiści przypisują Stwórcy. Postawiwszy te dwie tezy, Tyndall odpowiada na pytanie, czyli atomy same przez się ugrupowały się tak, że z nich powstał świat, lub też, czyli ugrupowanie to było dziełem leżącej po za niemi woli i siły, tj. dziełem stworzenia? Odpowiedź brzmi, że profesor angielski neguje Stwórcę i akt stworzenia. Narzeka on, iż ludzkość do dziś dnia dźwiga jarzmo duchowe, włożone jej przez Sokratesa, Platona i Arystotelesa, którzy zerwali z nauką Lukrecyusza, jakoby „przyroda sama sprawiała wszystko, bez wmięszania się bogów“. Chrześcianstwo bowiem, zdaniem Tyndalla, rozwijając dalej teorję o bóstwie, ścieśniło jeszcze bardziej pęta, nałożone rozwojowi wiedzy i stało się powodem moralnej stagnacji człowieczeństwa. Twierdzi on tedy, iż należy raz na zawsze zerwać z fikcją o „Stwórcy“ i rozwinąć dalej teorję „atomów“. Mimowoli wpada tu uczony profesor w sprzeczność sam z sobą, gdyż rozwija teorję atomów w ten sposób, że przypisuje im rodzaj. jestestwa duchowego, połączonego z samowiedzą.

A więc atom byłby Bogiem, stwórcą. Cóż jest atom? Najmniejszą niepodzielną cząstką materji. Matematyka zadaje atoli kłam tej niepodzielności, według niej bowiem niepodzielnem jest tylko zero, a z zera, jak znowu uczy chemia, tj. z „niczego,“ „nic“ tylko powstać może, nie zaś świat materjalny. Jeżeli Stwórca jest fikcją, to atom jest gorzej niż fikcją. Nikt nie udowodnił matematycznie i namacalnie istnienia Stwórcy, ale też nikt nie udowodnił, że go nie ma. Natomiast jak nie ma w rzeczywistości linii, punktu, tak samo według niezachwianych pewników nauki, nie może być atomu. Każda ilość nieskończenie podzielona, daje z materjalnego punktu widzenia zero — jezeli to „zero“ jest „atomem“ i jezeli w niem tkwi samowiedza i siła tworzenia, ono zaś samo jako pozbawione ciała, nie przywiązane jest do warunków czasu i przestrzeni, to otrzymujemy rezultat identyczny z powszechnem pojęciem o bogu, o stwórcy, i hypoteza p. Tyndalla schodzi się z hypotezą spirytualistów.

Wolno powątpiewać, czy odrzucenie „fikcji“ jaką jest stwórca“ a przyjęcie natomiast drugiej fikcji „atomu,“ w istocie uwolni wiedzę ludzką od pęt, które ją więżą. Przeciwnie, zdawałoby się, że jeżeli na miejsce hipotezy oderwanej od świata dającego się dostrzedz zmysłami, hypotezy, którą w badaniu naukowem nikt nie posługuje się jako cyfrą, zamiast owego wielkiego *X* stanowiącego oś problematów nauki, zamiast boga jednem słowem, postawimy niby-pewnik materjalny, w gruncie nietylko niepewny, ale wprost nieprawdziwy, to nauka i wiedza ludzka zajść mogą na gorsze jeszcze bezdroża, niżli te, na które ją sprowadzić mieli Sokrates, Plato, Arystoteles i Chrześciaństwo. Pozytywna metoda badania wyklucza wszelkie skoki, a skok od dzisiejszych zdobyczy nauki, od znanych już i zbadanych warunków i prawideł istnienia świata i przyrody, do samowiednych atomów p. Tyndalla i do utworzenia wszechświata z ich inicjatywy, jest przecież nieco hazardownym i ten co co go czyni, przestaje być pozytywistą. Jest on poprostu apostołem jakiegoś nowego, materjalistycznego Objawienia, który zamiast na Mojżesza i na Chrystusa, powołuje się na Lukrecyusza i na siebie.

Myliłby się zresztą mocno, ktoby mniemał, iż „pozytywna metoda“ w nauce prowadzić musi koniecznie do materjalizmu, poczęści tak fanatycznego, jak ten, który się objawił w Belfast. Spiritualizm umie godzić się z pozytywizmem, gdyż jak wyżej powiedziano, hypoteza „stwórcy“ nie potrzebuje bynajmniej być wykluczoną, by nauka swobodnie i bez pęt poruszać się mogła. Wzmożenie się materjalizmu wywołało zresztą w Anglii kierunek przeciwny, który objawia się nowemi dziwactwami „spirytystycznemi“. Od dziwactw tych nie ma być wolną nowo zawiązana „British National Association of Spiritualists“ której program brzmi jednakowoż wcale rozumnie. Według niego, celem stowarzyszenia jest połączyć spirytualistów wszystkich odcieni zdania, ku wzajemnej pomocy, w celu popierania nauk i badań, przedewszystkiem fizjologicznych, i udzielania sobie nawzajem rezultatów tych badań, jakoteż stwierdzonych faktów, mogących służyć za podstawę wnioskom naukowym. Życzyćby należało, ażeby pp. spirytualiści nie popadali w hallucynacje i ekstrawagancje, których gdy się ustrzegą i pójdą racjonalnym torem, stanowić będą zbawienną przeciwwagę dla wybujałości materjalizmu, negującego już nawet oczywistość historyczną taką, jaką jest cywilizatorska misja i zasługa chrześciaństwa, i propagującego z zaciekłością nowatorską, religję nowożytnego pogaństwa.

J. Lam.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Filozofja i krytyka, tom I. przez dr. Karola Libelta. Poznań. Nakładem J. K. Żupańskiego. 1874.

Niezmordowany wydawca poznański, p. Żupański, postanowił ogłosić w zbiorowej edycji, wszystkie dzieła największego z żyjących myślicieli polskich, dr. Karola Libelta. Tom pierwszy wzmiankowanego wydawnictwa, opuścił właśnie prasę w bardzo starannem wydaniu i zawiera: Samowładztwo rozumu i objawy filozofji słowiańskiej. Jeżeli pierwsza serja dzieł dr. Libelta, złożona z sześciu tomów, zostanie przez publiczność tak przyjęta, jak na to zasługuje, i czego się spodziewamy, natenczas wydawca przystąpi do wydania dalszych serji. Obszerną ocenę dzieł dr. Karola Libelta podamy w *Tygodniu*. Zwracamy jeszcze uwagę, że nowa ta edycja jest starannie przejrzana i poprawiona przez autora.

— Dzieje panowania Augusta II. od wstąpienia Karola XII. na ziemię polską, aż do elekcji Stanisława Leszczyńskiego (1702—1704) przez Kazimierza Jarochowskiego. Poznań. Nakładem L. Merzbacha. 1874.

Uczony badacz historji naszej, który przed laty 18 dał nam „Dzieje panowania Augusta II.“ od śmierci Jana III. do chwili wstąpienia Karola XII. na ziemię polską, postąpił, jak widzimy, w nowej tej pracy o dwa lata naprzód, rozświecając dalej epokę panowania Sasów, dosyć jeszcze ciemną w pisanej naszej historji. Źródłowe i wielkiej wartości dzieło Jarochowskiego, powstało z bogatego i wcale dotąd nieznanego materjału, który autor wyszukał w zbiorach drezdeńskich, sztokholmskich, kopenhagskich, upsalskich i grodzkich poznańskich. Autor nie kierując się żadną stronniczością, daje nam sumienny obraz ludzi i wypadków, rzucając równocześnie tyle światła na przyszłość, że uważny czytelnik może prawie odgadnąć, co w najbliższym czasie nastąpi. Mamy nadzieję, że p. Jarochowski nie ustając w pracy, da nam wkrótce dalszy ciąg naszych dziejów.

— Sztuka współczesna i jej kierunki przez Kazimierza Chłędowskiego. Lwów. Nakładem Seyfarta i Czajkowskiego. 1874.

Wobec wielkiego braku w naszem piśmiennictwie dzieł, poświęconych sztukom pięknym, praca p. Chłędowskiego zasługuje na uwagę, jakkolwiek brak w niej głębszej krytyki. Autor, zwiedziwszy zeszłoroczną wystawę wiedeńską, dał nam obraz sztuki pojedyńczych narodów w rysach ogólnych. Uwag trafnych jest dosyć, i szkoda wielka, że sztukę polską zbył ogólnikami, że tak powiemy beletrystycznemi. Mimo to szersze koła mogą tę książkę, napisaną bardzo poprawnie i przystępnie, czytać z korzyścią.

— Listy z Czech Adolfa Smorczewskiego. Warszawa, 1874.

Mało jest książek, któreby dla nas Polaków były tak pożyteczne, jak właśnie powyższa. Z niej dowie się czytelnik, jakim sposobem narody na pozór politycznie umarłe powstają z grobu i co znaczy praca wytrwała, połączona z oszczędnością. Z Czechami mogliśmy nie sympatyzować, bo przez długie lata dawali nam się w Galicji we znaki, lecz mimo to powinniśmy ich naśladować w usiłowaniach około podniesienia się z upadku.

— Mitologje i religje przez Ach. Genty, spolszczył Józef Siellawa. Lwów, 1874. cena 60 centów.

Jest to treściwy i popularnie napisany pogląd na charakter wszystkich mitologji i religji. Książkę tę polecamy młodzieży i zakładom naukowym.

— Nauka żywienia domowych zwierząt gospodarskich, przez H. Settegasta, przekład Ludwika Boguckiego. Warszawa, 1874.

Dzieło powyższe ozdobione 27 drzeworytami, ułatwiającemi zrozumienie tego ważnego przedmiotu, wyszło nakładem spółki księgarzy warszawskich. Jakkolwiek spółka nie wydaje dzieł wiele, mimo to każde z nich zasługuje na uwagę, dla swej praktycznej doniosłości.

— Przewodnik dla cieśli, przez Jana Hauricha, Warszawa. 1874, u Gebethnera i Wolfa.

I ta książka praktyczna, przeznaczona nie tyle dla właściwych cieśli, którzy rzadko jeszcze u nas mogą się oddawać studjom tak wszechstronnym, ile dla budowniczych, i obywateli wiejskich, zmuszonych najczęściej do kierowania robotami około własnych budowli, jest opatrzona bardzo licznemi drzeworytami.

— Wykłady o duszy ludzkiej i zwierzęcej, przez Wilhelma Wundta, przekład Ludwika Masłowskiego. Tom I. Kraków 1874.

Jest to dalszy ciąg „Bibljoteki umiejętności przyrodniczych“, wydawanej w Krakowie staraniem p. L. Masłowskiego. Wkrótce napiszemy obszerniej o tej ważnej publikacji.

— Opowiadania o nieskończoności Kamila Flammariona, przekład Hieronima Kuczalskiego, Warszawa 1874, u Gebethnera i Wolfa.

Samo nazwisko głośnego w świecie naukowym autora jest dostateczną rękojmią wartości tej książki, przeznaczonej dla młodzieży. Starsi mogą ją także czytać z prawdziwym pożytkiem.

— „Ofiary“, powieść T. T. Jeża. Warszawa 1874, u Gebethnera i Wolfa.

— „Restauracja“, powieść Jana Kalinczaka, przełożył ze słowackiego Bronisław Grabowski. Warszawa 1874.

— O pracy kobiet ze stanowiska ekonomicznego, przez dra Leona Bilińskiego. Lwów 1874.

— Poradnik dla matek, przez dra Antoniego Kaczkowskiego. Lwów 1874.

W obszernej swojej pracy, autor mówi o pielęgnowaniu i wychowaniu dzieci, oraz o leczeniu ich chorób.

— Lasalle i przyszłość socjalizmu, przez ks. Stefana Pawlickiego. Kraków 1874.

Rozbiór tej broszury będzie umieszczony w naszem piśmie.

— Kroniki Lwowskie, Jana Lama z r. 1868 i 1869. Lwów, 1874. Cena 2 złr.

— Kilka słów o kobietach, przez Elizę Orzeszkową, Lwów 1874; cena 1 złr. 80 cent.

Francuska i włoska.

— Dernières nouvelles pr. Prosper Mérimée. Paris. 1874. Michel Lévy.

Tom ten obejmuje następujące nowelle: Lokis, Il viccolo di Madama Lucrezia, La chambre bleue, Djoumane, Le coup de pistolet, Federigo.—Autor, uważany we Francji za pierwszorzędnego nowellistę, ma styl czarujący, wytworny, nie grzeszący ani deklamacją, ani przesadą, ale z drugiej strony pomysły do jego powiastek są nieraz tak dziwaczne, że mimowoli nie-francuz musi się zapytać, jakim sposobem takie utwory mogły w krótkim przeciągu czasu doczekać się piątej edycji? Eks-cesarzowa Eugenia, unosząc się nad nowellami Mériméga, robiła mu niepospolitą reklamę, ponieważ każdą z nich przed ogłoszeniem drukiem, autor odczytywał wpierw w jej salonie. Tam przyjmowano je oklaskami—poczem następował pokup. Nowellę „Lokis“ autor pisał na tle niby stosunków litewskich, o których atoli najmniejszego nie miał wyobrażenia. „Le coup de pistolet“ jest przekładem z Puszkina, a kilka innych raczej ramkami powiastek aniżeli prawdziwemi nowellami.

— Grégoire VII. et les origines de la politique ultramontaine. Par E. Langeron. 1874. Paris. Thorin.

Autor stara się udowodnić, że polityką kurji rzymskiej kierują do dziśdnia te same motywy, co za czasów Hildebranda. „Sylabus“ Piusa IX. jest tylko echem „Dictatusa“ Grzegorza VII, którego należy uważać za twórcę nowoczesnego absolutyzmu.

— Memoires du duc de Saint Simon. Vol. 12. 1874. Paris. Hachette.

W tomie tym znajduje się nader ciekawa charakterystyka epoki Ludwika XIV.

— Bernardino Telesio, ossia studi storici su l' idea della natura nel risorgimento italiano. Per Francesco Fiorentino. Firenze 1874. 2 volumi.

Znakomity autor tego dzieła, należący do najgłębszych myślicieli we Włoszech, rozbierając filozoficzne prace Teleziusza, którego pod wielą względami można postawić obok Arystotelesa, kreśli równocześnie całą epokę, w której Teleziusz żył. Jest to dzieło nadzwyczaj gruntowne i źródłowe.

Angielska i niemiecka.

— „Slavonic Fairy Tales. Colectead and translated by John T. Naake, of the British Museum. 8⁰ London, 1874.“ (Klechdy słowiańskie wybrane i przetłumaczone przez Jana Bogumiła Naake, urzędnika Muzeum Brytańskiego).

Zbiór ten składa się z 40 podań: polskich (z K. 11 W. Wójcickiego); czeskich 8 (z teki Erbena); rossyjskich 8 (z B. Bronicyna i Czudińskiego) oraz 13 serbskich (z W. S. Karadżica). Tłumacz nie zamieścił więcej klechd polskich Wójcickiego dla tego, że prawie wszystkie inne były już przetłumaczone dawniej i drukowane w czasopismach. Mówiąc o powiastkach polskich, tłumacz utrzymuje, że w nich malują się bierne cnoty i gorące uczucia.

— Geschichte und Literatur des Schachspiels. Ant. Linde, Berlin 1874. Springer.

Autor zapuszcza się w badania nad pochodzeniem szachów, a nie rozwiązawszy tej zagadki, przypuszcza, że głębokie Indje wydały tę grę, która potem dostała się do Persji, Arabji i całej Europy. Z powyższego dzieła, w którem nie brak ciekawych szczegółów, dowiadujemy się, że teraźniejsza gra w szachy, jest odmienną od średniowiecznej, a pierwszym jej twórcą był Hiszpan Lucena, który żył w drugiej połowie 14. wieku.

— Die Grabungen des Erzbischofs von Kalocsa Dr. Ludwig Haynald. Leipzig 1873.

Autor tej książki zajmuje się rozwojem sztuk we Węgrzech we wiekach średnich, i teraźniejszemi wykopaliskami. Dzieło ważne dla archeologów.

— Geschichte des Alterthums von L. Doublier. Wien, Univ. Buchhandlung, 1874.

Autor zebrawszy najznakomitsze dzieła, traktujące historję starożytną, daje obraz kultury ze szczególnem uwzględnieniem rozwoju życia gospodarczego w rolnictwie, handlu i przemyśle. Książka cała zajmująco napisana, może być z pożytkiem czytana przez uczniów wyższych szkół gimnazjalnych.

— Völkerkunde, von Osc. Peschel, Leipzig. Dunker et. Humbert. 1874.

Jest to pod każdym względem dzieło znakomite, praca człowieka uczonego i bystrego krytyka. Szczególnie zajmującym jest dział poświęcony rasom ludzkim. Nie jest on bezwzględnym wielbicielem Darwina, ale go i nie odrzuca. Osobom oddającym się historji, polecamy tę książkę jako wyborny podręcznik.

— Juli von Bondeli, von Bodemann. Hannover, Halm, 1874.

W powyższej pracy znajdują się ciekawe szczegóły, odnoszące się do charakterystyki takich znakomitości jak: Wieland, Rousseau, Zimmermann, Lawater, i wielu innych.

— Wichtige Krankheiten der Waldbäume. Dr. Rob. Hartig, Berlin 1874. Springer.

Praca powyższa z wielką znajomością przedmiotu napisana, jedyna dotąd w języku niemieckim, a przeznaczona dla botaników i ludzi zajmujących się leśnictwem, jest ozdobiona 160 rysunkami i 6 tablicami, które naukę znacznie ułatwiają.

— Dawid Fridrich Strauss, von Ed. Zeller. Bonn 1874. Strauss.

Jest to bardzo wyczerpująca biografja tego wielkiego filozofa, wraz z poglądem na jego dzieła.

— Die allgemeine Chirurgie. von Prof. C. Hueter. Leipzig, 1873. F. C. W. Vogel.

Dzieło to robi wielkie wrażenie dla swoich nowych poglądów. Ponieważ jednak znajduje się w niem bardzo wiele kwestji nierozstrzygniętych, przeto dla uczniów nie jest odpowiednie. Równe dzieło Billrotha jest praktyczniejsze.

— Geschichte der christlich-lateinischen Literatur von ihren Anfängen bis zum Zeitalter Karls des Grossen, von Ad. Ebert. Leipzig. Vogel, 1874.

Wiadomości ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— *Sobótka*, książka zbiorowa wydać się mająca na uczczenie pięćdziesięcioletnich zasług w literaturze — jednego z najznakomitszych naszych poetów, *Seweryna Goszczyńskiego*,—wkrótce już oddaną zostanie do druku.

Czyż potrzebujemy jeszcze przypominać, że imię *Goszczyńskiego* należy do najszanowniejszych w kraju? Wieszcz i żołnierz, obywatel w całem tego słowa znaczeniu i tułacz po obczyźnie — gdziekolwiek się znajdował, czy to na polu bitwy, czy to na arenie publicznej działalności, czy też w pielgrzymstwie dalekiem, — wszędzie zdobywał sobie tę cześć zasłużoną, która dziś powszechnie go otacza.

Dziś ten czcigodny starzec stoi już na schyłku dni swoich. „Niechże zachód jego życia, — że wyrazimy się tu słowami odezwy — umili akt uznania

i czci narodowej, do której tyle praw sędziwy mistrz pozyskał sobie.“

Ze strony redakcji naszego pisma oświadczamy, że z chęcią pośredniczyć będziemy w przyjmowaniu prenumeraty na *Sobótkę*, która wynosi 3 złr. w. a.

— Poezje Adama Asnyka (El...y), które, jak wiadomo, w stosunkowo bardzo krótkim czasie doczekały się u nas drugiego wydania, są już teraz znane, lubo w ogólnych tylko zarysach, publiczności niemieckiej. *Magazin für die Literatur des Auslandes* w nr. 30. z d. 25. lipca b. r. umieścił obszerniejszy artykuł, poświęcony Asnykowi, którego nazywa najcelniejszym dziś w Polsce lirykiem, podnosząc szczególnie melodyjność jego języka. Dwa krótsze wierszyki są na próbę przetłumaczone na język niemiecki, dość wiernie i poprawnie. O ich przekładzie tak się tłumacz wyraża: „Oto dwie próbki tych poezji, próbki, które piękności oryginału wcale nie oddają, ponieważ wspaniała i po mistrzowsku użyta mowa, rozwija tu wszystkie swoje tajemnice i taki czar rozlewa, że w przekładzie musiał zaginąć!“ — Rzeczone pismo, przyrzeka również podać wkrótce recenzję dramatu Asnyka *Cola Rienzi*. Ciekawiśmy, co Niemcy powiedzą o tym utworze, o którym zdania u nas są bardzo podzielone.

— Najbliższy z przyjaciół Adama Mickiewicza, Antoni Edward Odyniec, wydał w czwartej edycji poprawionej i pomnożonej wszystkie swoje poezje.

— Akademja umiejętności w Krakowie, oceniając należycie wartość zabytków dawnego naszego budownictwa, wysłała pp. Władysława Łuszczkiewicza i Marjana Sokołowskiego do W. Ks. Poznańskiego, ażeby zajęli się rozpoznaniem zabytków architektury i rzeźby z epoki *romańskiej*, w okolicach Kruszwicy i Gniezna, tudzież budowli na wyspie Lednickiego jeziora, których znaczną część odkrył już i opisał śp. Aleksander Przezdziecki.

— W Paryżu zaczął wydawać A. de Faure dokładną historję ostatniej wojny francusko-niemieckiej. Chcąc by dzieło było wyczerpujące, prosi wszystkich, którzy mają ważniejsze szczegóły, aby mu takowe przysłali pod adresem *Mr. Le Faure, chez Garnier frères, libraires - éditeurs, Rue des Saints - Pères à Paris.* Polacy, którzy brali czynny udział w tej wojnie, powinni uczynić zadość wezwaniu, dla wyświecenia stanowiska, jakie emigracja nasza zajmowała we Francji w r. 1870 i 1871. W samej armji loarskiej było kilkuset Polaków.

— Paryski nakładca Lemerre wydał niedawno śliczną książeczkę *Le livre des sonnets*, w której znajduje się 120 sonetów, wybranych z pism najcelniejszych poetów francuskich. Wiktor Hugo napisał w swojem życiu jeden tylko sonet i ten jedyny znajduje się w powyższym zbiorze. Był on dedykowany najstarszej córce Teofila Gautier. Oto charakterestyczny z niego dwuwiersz:

Nous sommes tous les deux voisins du ciel, madame,
Puisque vous êtes belle et puisque je suis vieux.

— Tej zimy ma się pojawić w Paryżu po raz pierwszy, nowa opera Verdiego *Juljusz Cezar*, o której świat muzykalny już dziś bardzo wiele mówi.— Adelina Patti nie będzie śpiewała w tej operze. Otrzymawszy bardzo wysokie honorarjum, zaangażowała się na cały sezon do włoskiej opery w Petersburgu i Moskwie.

— Georges Sand skończyła niedawno pięcioaktową tragedję dla Théatre français. *Monde Illustré* cuda opowiada o niesłychanem zdrowiu i rześkości tej siedmdziesięcioletniej autorki. Pani Georges Sand będąc tego lata w Paryżu, wychodziła o ósmej rano z domu, przez cały dzień była w ruchu bezustannym, a o pierwszej po północy wracała z teatru pieszo do domu. Nie każdy mężczyzna w tym wieku mógłby tego dokazać.

— Drezdeńska galerja obrazów została wzbogacona nowemi arcydziełami sztuki włoskiej takich mistrzów jak Luca Signorelli, Giovanni Bellini, Giorgione, Penacchio i wielu innych. Dzieła te pochodzą ze zbioru Barkera w Londynie.—W Bonn i Trier Niemcy zakładają prowincjonalne muzea.

— Offenbach pracuje nad nową operetką, której tytuł będzie: *„Madame l' Archiduc.“*

— Wszyscy pamiętają, że po smutnych dla Francji latach 1870 i 1871, arcybiskup paryski postanowił zbudować kościół na wysokości Montmartre, w czem przyszło mu w pomoc zgromadzenie narodowe, pozwalając zbierać na ten cel składki w całym kraju. W pałacu Pól Elizejskich, były wystawione w lecie b. r. wszystkie plany nowej świątyni, przysłane przez budowniczych. Razem było planów 60, z których 11 otrzymało większe lub mniejsze nagrody. Nagrodę pierwszą (12.000 franków) wziął pan Abadie. Styl jego kościoła jest maurytański.

— Znany illustrator francuski, Gustaw Doré, wykończył nowy wielki obraz, który wystawiony w Londynie, w galerji New-Bondstreet, ściąga tłumy ciekawych. Malowidło możnaby nazwać: „Sen żony Piłata.“ Treść, jak widzimy, zaczerpnięta z nowego testamentu. Na lewo Klaudia Procula, żona gubernatora, schodzi powoli po marmurowych stopniach, pałacowych; cała jej postać w zachwycie; oczy ma zamknięte, a ręka spoczywa na czole. Anioł z rozpiętemi skrzydłami, krąży nad jej głową, szepcąc do ucha, co znaczy jej wizja, która jest główną treścią obrazu. Na przedzie wznosi się postać Zbawiciela, oblana światłem nadziemskiem, które zdaje się z niego samego wychodzi, ponieważ otoczenie jego jest ciemnością osłonione. Między towarzyszami Chrystusa widzimy Piotra, jak stoi wsparty na swoim mieczu, z kluczami w rękach, podczas gdy obok żołnierze krzyż trzymają. W głębi pokazują się rycerze krzyżowi, ojcowie kościoła, papieże, słowem wszyscy, którzy przyczynili się do zwycięztwa chrystjanizmu nad światem pogańskim. Jak widzimy z tego opisu, nowy obraz Dorégo jest pełen efektów, ale zarówno innym pracom tego artysty, musi on mieć wartość więcej dekoracyjną jak psychiczną.

— Angielski zakład artystyczny Dickinsona, zapłacił pannie Thompson 20.000 guldenów, za prawo rozpowszechnienia ostatniego jej obrazu, który otrzymał nagrodę na ostatniej wystawie w Londynie. Obraz przedstawia żołnierzy angielskich w Krymie, w chwili, gdy ich nazwiska odczytują. Cóżby Anglicy zapłacili za oryginały Matejki, gdyby treść ich była zaczerpnięta z historji W. Brytanji!

— Profesor Catania donosi z Sycylji, że wkrótce nastąpi wybuch Etny. Kilka nocy spędził on u krateru, a huk, jaki daje się słyszeć w głębi góry, jest zapowiedzią gwałtownego wybuchu. Ostatni wybuch Etny nastąpił jak wiadomo w r. 1869.

— Uczony angielski John Williams, skończył właśnie przegląd encyklopedji chińskiej, wydanej w 100 tomach w r. 1332, a zatytułowanej Wan-Hin-Jung-Kao. W olbrzymiem tem dziele znajdują się rozprawy o religji, ustawodawstwie, ekonomji politycznej, rządzie, rolnictwie, historji naturalnej i astronomji. Williams znalazł długą listę zaćmień słońca, obserwowanych w Chinach od r. 2158 do 1223 przed narodzeniem Chrystusa, jak niemniej opis ciał niebieskich i plam na słońcu. Jakkolwiek wszystkie te postrzeżenia są bardzo niedokładne, mimo to przekonywują nas one, że Chińczycy zajmowali się astronomją już wtedy, kiedy w Europie nikt jej jeszcze nie przeczuwał.

— Prawdziwe gowandalizmu dopuścili się uczniowie kolegium w Oxfordzie. Oto niedawno temu wpadli oni do bibljoteki i muzeum miejscowego, a wyniosłszy kilka posągów marmurowych rzadkiej wartości, pogruchotali je na dziedzińcu, twierdząc, że nagość ich obraża moralność. Strata wynosi 200·000 franków.

Podróże, odkrycia, wynalazki i komunikacje.

— Słynny podróżnik i profesor szwedzki Nordenskiöld (Nurdenszeld) czyni obecnie przygotowania do nowej wyprawy na biegun północny. Będzie to trzecia z rzędu wyprawa znakomitego podróżnika, który w zakresie wycieczek do bieguna, ma już za sobą rodzinne tradycje, gdyż członkowie rodziny Nordenskiöldów z dziada pradziada tchną nieprzepartą żądzą odkrycia drogi przez biegun. Żyjący dzisiaj ich potomek ma nadzieję, że cel ten ostatecznie osiągnie, a wiele za ziszczeniem się tej nadziei przemawia, jeżeli zważymy, że nasz podróżnik liczy około 30 lat wieku, a już europejską cieszy się sławą. Dodać warto, że szczególnym zbiegiem okoliczności nazwisko jego znaczy dosłownie po polsku „północna tarcza“ (Norden sköld). Profesor Nordenskiöld jest nadto znakomitym archeologiem i posiada zbiór odkrytych przez siebie starożytnych zabytków skandynawskich. Chcąc jednak posiadać w swojem muzeum i innych krajów wykopaliska, uprosił jednego ze współziomków jadących do Polski, ażeby zaproponował archeologom warszawskim zamianę chociażby kilku naszych wykopalisk na starożytności skandynawskie.

— Według obliczeń londyńskiego Towarzystwa geograficznego, sławny podróżnik Livingstone zrobił w Afryce 290,000 mil angielskich, odkrył zaś 250,000 mil kwadratowych nowej ziemi, a więc tyle prawie ile czwarta część całej Europy zajmuje.

— Podróżnik angielski Lovett-Cameron, wysłany w głąb Afryki przez londyńskie towarzystwo geograficzne, był d. 28. lutego r. b. w Udschidschi, gdzie znalazł mapę dr. Livingstona i jeden z jego dzienników. Cameron zamierzał udać się z tamtąd do jeziora Tauganyika.

— Wykończono już kolej na sam szczyt góry Rigi w Szwajcarji. Koszta wynoszą tylko 2,500.000 franków. Rocznie odwiedzało dotąd Rigi około 15,000 turystów. Przedsiębiorcy kolei ufają, że teraz liczba zwiedzających wzrośnie rocznie do 100,000. Może to trochę za wiele. Podróż na szczyt góry trwa półtorej godziny.

— O austrjackiej wyprawie do bieguna północnego na okręcie Tegetthoff, który, jak wiadomo, puścila się przed dwoma laty w niebezpieczną drogę, do dziś dnia najmniejszej nie ma wiadomości. Jacht parowy „Diana“, mający ją wyszukać, był 29. czerwca r. b. w Hammerferst.

— Między Japonją a wyspami Sandwichskiemi, odkryto w morzu sześć pasem gór. Niektóre z nich wznoszą się po nad poziom dna morskiego na 5 i 12 tysięcy stóp. Wierzchołki kilku gór sięgają powierzchni morza.

— W pobliżu Gorycji znaleziono grób księcia Longobardów, Gizulfa. Wewnątrz sarkofagu znajdowały się szczątki szkieletu, złoty krzyż bizantyński wysadzany drogiemi kamieniami, ostrogi, helm i flaszeczka z czystą jak łza wodą. Na kamieniu był skromny napis „Gisul.“

— Świat cały zdumiewał się, patrząc na rzymskie Kolosseum; tak wielkiego olbrzyma nie ma na kuli ziemskiej. Jakież atoli zdziwienie opanuje teraz naszych czytelników, jeżeli im powiemy, że Kolosseum jest o 6 sążni wyższe aniżeli dotąd przypuszczano? Wiadomo, że Rzymu powierzchnia podniosła się o kilka sążni w skutek upadających rumowisk; to samo stało się z areną w Kolosseum. Ostatnie poszukiwania odkryły, że właściwa arena, wyłożona kamieniami, znajduje się na sześć sążni pod teraźniejszą powierzchnią. Jakże będzie wyglądało Kolosseum, gdy w zupełności zostanie odkopane?

— Angielski okręt „Bazyliszek“ odkrył w pobliżu brzegów Nowej Gwinei 32 małe wysepki, dotąd całkiem nieznane, na których mieszkają dzicy silnie zbudowani, ale niskiego wzrostu. Czerwone chustki, siekiery i wędki są u nich pieniędzmi, za które kupują wszystkie inne przedmioty.

— W Japonji, mianowicie w Tahosima, odkryto bardzo bogate pokłady węgla, które rząd chce wydzierżawić towarzystwu europejskiemu. Korzyść będzie wielka, gdyż w Europie daje się już od dawna czuć brak tego artykułu.

— Oficerowie egipscy odkryli nad morzem Czerwonem nieznaną dotąd twierdzę starożytną, zbudowaną na 150 stóp nad powierzchnią morza. Leży ona w pobliżu Berenice pod 24 stopniem szerokości i pochodzi z czasów Ptolomeusza Evergeta. Cała budowa jest bardzo dobrze zachowana.

— W Indjach zbudowali Anglicy nową kolej, długości 80 kilometrów, która na przypadek głodu ma zaopatrywać w żywność okolice Tirhoot.

— Paryska akademja umiejętności zajmowała się na jednem z ostatnich posiedzeń utworzeniem morza w środku Algierji. Roudaire, kapitan francuskiego sztabu jeneralnego, robiąc studja na miejscu przyszedł do przekonania, że przestrzeń piaszczysta, mająca być wodą zalana, leży o 40 metrów niżej jak powierzchnia morza Śródziemnego, a więc napełnienie jej wodą jest rzeczą niewątpliwą. Niemniej udowodniono, że dawniej było morze w tem miejscu; piaski niesione wiatrami potworzyły atoli lawy na drodze, łączącej morze algierskie z basenem śródziemnym, wskutek czego przypływ ustał, poczem woda wywaporowała. Aby morze na nowo powstało, trzeba przeciąć kanał od brzegów morza Śródziemnego, liczący nie więcej jak 12 kilometrów. Znany Lesseps utrzymuje, że cała praca nie kosztowałaby więcej jak 12 miljonów franków, co jest niczem w porównaniu z korzyściami, jakieby się przez to osiągnęło. Morze liczące 320 kilometrów długości a 60 szerokości, utworzone na południu prowincji Konstantyny, odpowiednie przytem do żeglugi, użyźniłoby nadzwyczajnie całą okolicę, robiąc ją urodzajną. Minister finansów kazał p. Roudaire wypłacić

25,000 franków, aby ukończył swoje studja. Obok tunelu przez Mont-Cenis i kanału Suezkiego, byłaby to największa praca ludzkości. Niczby nie było nadzwyczajnego, gdyby po dokonaniu tego przedsięwzięcia zalano potem całą Saharę, o czem już dziś mówią, robiąc w ten sposób z piaszczystej dziś Afryki środkowej prawdziwą Mezopotamię. Czego człowiek nie dokaże — gdy chce szczerze?

— W mieście amerykańskiem Springfield, będzie wystawiony pomnik byłemu prezydentowi Lincolnowi. Przy odsłonięciu przemówi sam prezydent Grant.

— W Londynie, na placu Leicester postawiono statuę Szekspira. Jest to pierwsza w Londynie statua tego wielkiego dramaturga.

— Bawarska Akademja umiejętności mianowała wicekróla Egiptu swoim członkiem honorowym. Widocznie idzie Niemcom o to, aby wicekról pozwolił im robić w Egipcie naukowe poszukiwania i zdejmować wzory ze starożytności. Dawniej w tym samym celu rzeczona Akademja mianowała swoim członkiem honorowym króla Grecji.

— W Rzymie oddawna noszą się z myślą zmienienia kierunku koryta Tybru, a to nietylko z powodu szkód zrządzanych częstemi wylewami na wiosnę, ale nadto w nadziei dobycia z koryta osuszonego rzeki, zabytków sztuki, a nawet kosztowności. Nie jedna już bowiem rzeźba wydobytą została z Tybru, a podania i wzmianki dziejopisarzy mówią o wrzuceniu różnemi czasy do Tybru posągów, lub topieniu skarbów. Najście barbarzyńców, przed którymi ukrywano skarby na dnie rzeki topienie posągów bądź przez nich, bądź w późniejszych czasach po zaprowadzeniu chrystjanizmu przez neofitów, nie pojmujących wartości artystycznej dzieł sztuki starożytnej, uczyniło dno Tybru prawdziwą kopalnią. Przedsiębiorcy zatem liczą na wielki zysk z osuszenia koryta i zwrócenia rzeki w dawniejsze jej łożysko. Tyber byłby już z pod Pontemolle zwrócony przez łąki Castello po za ogrody watykańskie.

Statystyka.

— *Ze Statystyki ludności polskiej w państwie pruskiem*, przez dr. Romana Szymańskiego (Poznań r. 1874), dowiadujemy się, że Prusy Wschodnie i Zachodnie liczą 707.821. W. Ks. Poznańskie 801.272, Szląsk dolny i górny 719.365, a Pomorze 3.677 Polaków. Razem w państwie pruskiem 2,232.135 głów. Cyfry te są zestawione według spisu z r. 1861. Spis z r. 1871, wykazuje według statystyków niemieckich 2,500.000. Ciekawą tę pracę polecamy szerszym kołom. Czytelnik dowie się z niej, w jakim stosunku znajduje się ludność polska do niemieckiej w pojedynczych powiatach, niemniej gdzie się wzmaga a gdzie i dla czego upada.

— W Warszawie jest 256 fabryk, w których pracuje 8.923 robotników. Produkcja rozmaitych wyrobów wynosiła w r. 1873. 16,497.220 rubli. W porównaniu z rokiem poprzednim, produkcja zwiększyła się o 2,161.273 rubli.

— Produkcja cukru we Francji wzmaga się niesłychanie. Podczas gdy w r. 1868 wyrobiono 238 miljonów kilogramów, w r. 1873 fabryki dały 415.727.000 kilogramów. — A mimo to cukier nie jest tańszy.

— Po Genewie, Besançon wyrabia najwięcej zegarków. W r. 1873. wywieziono z tamtąd 394.902 zegarków złotych i srebrnych.

— Paryż potrzebuje rocznie 112 miljonów litrów mleka.

— W Anglji marynarka kupiecka zajmuje 407.000 ludzi, a we Francji 170.000, zatem mniej jak połowę.

— Według ostatnich obliczeń, rolnictwo przyniosło Francji w r. 1873 ośm i pół miljarda franków, a przemysł dziewięć i pół miljarda.

— Paryż ma 1956 doktorów; na 923 mieszkańców jednego lekarza. Ponieważ na 100 osób przypada przeciętnie 1 chory, więc rzecz widoczna, że aby w Paryżu być lekarzem nie głodnym, trzeba mieć przynajmniej taki majątek, któryby przynosił rocznie 10.000 franków.

— Im bardziej wzmaga się cywilizacja, tem więcej potrzeba papieru. Świat cały, z wyjątkiem Azji i Australji, wyrobił tego artykułu w r. 1873. 17,819.000 centnarów.

— W pierwszych czterech miesiącach rb. Austrja przywiozła towarów za 181. 086.715 guldenów, a wywiozła za 125,835.714 guld. Porównywając cztery miesiące roku ubiegłego, okazuje się, że w tym roku, przywóz zmiejszył się o 20 miljonów, a natomiast wywóz zwiększył się o 10 miljonów.

— Biuro statystyczne w Washingtonie wydało świeżo sprawozdanie o ludności zamieszkującej kulę ziemską; według tego sprawozdania ogólna ilość ludności na kuli ziemskiej wynosi 1,391,032.000 dusz.

— Obliczono że zaledwo czwarta część ludzi na świecie dożywa 7 lat a ½ siedemnastu. Jeden człowiek na 500 dociąga do 65 a jeden na 10.000 do 100 lat życia. Ledwo jedna osoba na osiem jest zdolną do noszenia broni i to nieliczące kobiet.

— W Anglji przypada jeden dziennik na 16.500 osób, we Francji na 22.500, w Prusach na 23.700, w Austrji na 104.000. W Ameryce zaś jeden na 7000.

Szkolnictwo.

— W Zagrzebiu nastąpi w październiku r. b. uroczyste otwarcie kroackiego uniwersytetu pod nazwą Franciszka Józefa.

— W Szwajcarji na dwa miljony mieszkańców jest 7000 szkół elementarnych. Na 300 mieszkańców przypada jedna szkoła. Wydatki na szkoły elementarne wynoszą rocznie 7.600.000 franków. Jakżeż tam każdy nie ma umieć czytać i pisać, co jest podstawą wielkości i dobrobytu narodów!

— Studentki uczęszczające w Petersburgu na oddział medyczno-chirurgiczny, założyły rodzaj pensjonatu, aby biedniejszym z pomiędzy siebie przyjść w pomoc. Każda z zamożniejszych daje dziennie 50 kopiejek; uboższe za to zajmują się kuchnią i całem gospodarstwem.

Gospodarstwo, przemysł i handel.

— Ceny zboża dotąd się nie ustaliły. Świat kupiecki jeszcze się orjentuje, nie wiedząc, czy rzeczywiście w całym świecie tak wielki tego roku był urodzaj, jak to urzędowe głoszą sprawozdania. Nie możemy spodziewać się ustalenia cen przed ukończeniem zasiewów.

— Tegoroczna posucha tak wypaliła trawy w okolicach Radomyśla, że bydło nie mając się czem pożywić, obgryzało słomę ze strzech, skutkiem czego w kilku wioskach dokoła Radomyśla nie ma jednej strzechy całej.

— Nie tylko w Europie coraz droższy robotnik. W Nowej Zelandji człowiekowi pracującemu w polu płaci się dziennie 15 franków. Niech nas to pocieszy.

— Sadzenie drzew owocowych należy u nas do bardzo zaniedbanej gałęzi gospodarstwa. Dla tych, których obchodzą owocowe ogrody, podajemy ważne szczegóły o sadzeniu drzew, ogłoszone przez prof. J. Brenninga w „Gazecie meinbernheimskiej.“ Sadzenie drzew owocowych — pisze on — powinno odbywać się na ziemi lekkiéj w jesieni, na ciężkiej i wilgotnej na wiosnę. Robotę można rozpoczynać tylko przy pięknem suchem powietrzu. Drzewa owocowe udają się najlepiej na stokach południowych i wschodnich. Na wzgórzach można sadzić orzechy, czereśnie i grusze, na dolinach jabłonie i śliwki. Jabłonie i grusze muszą być oddalone od siebie o 40 stóp, śliwy i wiśnie o 24. Im gęściej sadzone drzewo owocowe, tem gorszy owoc. Dół, w którym na wiosnę ma być drzewo zasadzone, należy wykopać w jesieni a tem głębszy powinien on być i szerszy, im słabszą jest ziemia. Osadziwszy drzewo, powinno się równo rozdzielić korzenie, zwracając najsilniejsze ku północy. Korzenie przysypuje się dobrą ziemią. Jak skoro dół do połowy zostanie ziemią zapełniony, należy wylać wiadro wody, przyczem porusza się drzewem, aby korzenie oblepiły się ziemią; w ten sposób nie pozostaną próżne miejsca, które w wysokim stopniu przyczyniają się do psucia korzeni. Nie powinno się sadzić młodych drzew tam, gdzie wpierw były stare.

Nekrologja.

— O. Augustyn Theiner umarł w Civittavecchia dnia 9. sierpnia r. b. Nieboszczyk należał do zgromadzenia św. Filipa Nerjusza. Był to jeden z największych uczonych i najszczytniejszych charakterów naszego stulecia. Urodzony w r. 1801 we Wrocławiu z ojca szlązaka a matki polki, należał do najżarliwszych obrońców naszej narodowości. Wydał dzieło o Polsce, pierwszorzędnej wartości: *Vetera monumenta Poloniae et Lithuaniae.* Theiner był wielkim nieprzyjacielem zakonu OO. Jezuitów, z którymi walczył w dziełach: *Historja Klemensa XIV* i *Historja Benedykta XIV*. Przed samym zgonem pracował nad ostatnią częścią drugiego tego dzieła.

ROZMAITOSCI.

— Nie wszystkim może wiadomo, że księgarz warszawski p. Gebethner posiada kompozycję Jana Matejki przedstawiającą czytanie wyroku śmierci w XVI stuleciu. Ilustrowane pismo Studgardzkie „*Das Buch für Alle*“ dopuściło się rozmyślnego plagiatu, umieściwszy bowiem w zeszycie 25 z rb. rysunek tej kompozycji, nie przytoczyło ani nazwiska artysty ani innych bliższych szczegółów, chcąc zapewne, by ta kompozycja była uważaną za niemiecką. Drugie pismo niemieckie „*Ueber Land und Meer*“ przyniosło w nr. 45 z rb. rysunek „Kazania Skargi“ Jana Matejki. Odbicie rysunku jest świetne, ale wytłumaczenie kompozycji błędne, ponieważ p. Paweł Jucht mniema, że scena odbywa się przed Zygmuntem Augustem, nie zaś przed Zygmuntem III, jak jest w rzeczywistości.

— Paryski Jardin d' acclimatation otrzymał przed trzema miesiącami dwa młode orangutany. Są to pierwsze okazy tych zwierząt w Europie. Oba mają łagodny charakter i okazują wiele inteligencji. W pierwszych zaraz tygodniach nauczyły się jeść łyżkami i pić ze szklanek. Ich nauczyciel i opiekun, stary majtek ze statku *Le Sindh*, jest ciągle z niemi, odkąd je nabył na wyspie Borneo od kupców malajskich. Samica ma 60 centymetrów wysokości, a samiec, o pół roku od niej młodszy, 50 centymetrów. Ona bawi się chętnie z osobami, które przychodzą do ogrodu, on zaś siedzi zadumany. Rzecz szczególna, że w drodze z Azji do Europy, oba orangutany cieszyły się bardzo widokiem ludzi, nie zbliżając się nigdy do innych zwierząt, nawet do małp, które razem z niemi znajdowały się na pokładzie. Dotąd są zdrowe — nie wiadomo atoli, czy przetrwają zimę.

— Nie bez podstawy utrzymują niektórzy, że pod słońcem nie ma nic nowego. Oto dowiadujemy się z broszury Eugeniusza Ory, wydanej w Pont-à-Mousson, że kartaczownica, o której niedawno jeszcze tyle mówiono, jako o nowym wynalazku, była znana i używana w r. 1630. Ory cytuje źródła, z których zaczerpnął o niej wiadomości. My sami widzieliśmy w zbrojowni bolońskiej „rewolwer“ z 17. stulecia, a „gilotyna“ figuruje od niepamiętnych czasów na starym fresku w ratuszu norymbergskim, a więc dr. Guillotin przywłaszczył sobie cudzy pomysł.

— W Nowym Jorku wychodzi dziennik w narzeczu Indjan Dakota i święci obecnie właśnie trzecią rocznicę swego istnienia. Tytuł jego *Japi Oaye* co znaczy, Słowonośca, a ma tę szczególność do siebie, że posiada 500 prenumeratorów na 1000 obywateli stanowiących cały naród dakocki. Jest to widocznie najucywilizowańszy naród na ziemi!..

— Korzystając z chwilowej nieobecności odźwiernego, wszedł złodziej do domu pod N. 110 przy bulwarze Ornano w Paryżu, dostał się na trzecie piętro, otworzył drzwi wytrychem i zamknąwszy je za sobą, począł poszukiwania. Nie było nic jednak, prócz odzieży, przygotowanej jakby do przebrania się. Nowa odzież i bielizna zręciły złodzieja; zabiera się więc do przebrania się i zdejmuje z siebie wszystko; ale zanim zdążył wdziać na siebie koszulę, ktoś zakręcił kluczem w zamku. Złodziej spłoszony, chowa się w stroju adamowym pod łóżko i widzi tylko nogi wchodzącego, który uwija się po pokoju, uprząta coś i niebawem wychodzi. Złodziej wyszedłszy z pod łóżka z przerażeniem poznaje, że wszystka odzież i bielizna znikły z mieszkania, a zarazem i jego własne odzienie. Wyciąga więc prześcieradło z łóżka i obwinąwszy się niem, czeka cierpliwie, co się dalej stanie. Niezadługo wchodzi jakiś mężczyzna i ujrzawszy złodzieja nagiego, otulonego w prześcieradło, posyła po straż policyjną. Rzecz zaś się tak stała, iż gdy złodziej spłoszony wlazł pod łóżko, inny złodziej przyszedł i zabrał suknie, tak właściciela mieszkania, jak i pierwszego złodzieja.

— W Trisendorf, jeden z bogatych chłopów, objawił w szynku przekonanie „że wielka szkoda że Bismarka nie zastrzelono“ w Kissingen“. Nazajutrz znaleziono wieśniaka nieżywego; odebrał sobie życie z obawy, by go nie uwięziono.

— U stóp góry Araratu w małej Azji pewien Anglik założył dziennik dla miejscowej ormiańskiej i perskiej ludności. Między różnemi wiadomościami, znajduje się w nim teorja trzęsienia ziemi, utrzymująca się między Ormianami. — Otóż według niej, ziemia spoczywa na grzbiecie olbrzymiego byka, który spi spokojnie; ilekroć zaś muchy nadto mu dokuczą, wstrząsa głową, i wtedy ziemia drży; gdy się zbudzi, zrzuci ziemię — i wtedy nastąpi koniec świata.

— Przez Paryż pędziła dorożka. Koło Magaleny przewraca naraz jednego z przechodniów.

„Gwałtu! co robisz! — woła poszkodowany — możesz mnie przejechać!“

„Nie irytuj się przyjacielu — odpowiada woźnica spokojnie, — nie takich jam już przejeżdżał...“

— Proroków, przepowiadających koniec świata, dotąd nie brak; wprawdzie w Europie mniej ich z każdym rokiem, lecz za to mnożą się oni w Ameryce, ubrani w togę uczoności. I tak niejaki Walling utrzymuje, że ponieważ słońce zawiele światła rozlewa, więc w niedalekiej przyszłości całkiem się wyczerpie i zgaśnie, skutkiem czego, ma się rozumieć, nastąpi koniec świata. Profesor Spring dodaje do tej uwagi: słońce to lampa, której powierzchnia grubieje (!) niezadługo stanie się ono ciałem bez życia, a więc nieużytecznem w przestrzeni. P. Barnas, który był jenerałem podczas ostatniej wojny, przypomniawszy sobie zapewne dawne rzemiosło, zapewnia uroczyście, że ziemia jest wewnątrz napełniona eksplodującemi gazami, które się tworzą ze znajdujących się w jej wnętrzu minerałów. „Przyjdzie czas, mówi ten uczony, że na chwilę ziemia osłabnie w biegu; wtedy nastąpi eksplozja i ziemia wyleci w powietrze jak bomba olbrzymia!“ Ostatni z tych proroków, Franklin Hoagh, jest przekonany, że koniec świata nastąpi albo wskutek niesłychanej posuchy, na którą zanosiło się już w tym roku, albo z powodu namnożenia się szkodliwych owadów, które wszystko zjedzą, tak dalece, że w końcu same tylko zostaną. — Jakie szczęście dla nas, że nie doczekamy tych smutnych czasów!

— W jednym z dzienników amerykańskich znajdujemy następujący inserat: „Wczoraj, o godzinie 8 wieczór, zgubiono pugilares, w którym obok niepotrzebnych papierów znajdował się rachunek krawca na 160 dolarów. Uprasza się rzetelnego znalazcę, aby raczył potrudzić się do krawca i zapłacił rachunek.“

— „Co byś uczynił, — zapytał ktoś p. S. znanego z dowcipu — gdybyś idąc przez ulicę znalazł 5000 guldenów?“

„Ogłosiłbym zaraz, że dam 500 guldenów nagrody temu, kto zgubił.“

— Chcecie wiedzieć, jaka kara spotykała dawniej i dziś jeszcze spotyka nielegalnych kochanków? Posłuchajcie: W Egipcie ucinano nos kobiecie, a jej wspólnika karano chłostą. — U Asyryjczyków wykluwano oczy obu winowajcom. — Żydzi kamienowali ich razem. — Ateńczycy wystawiali kobietę na wzgardę pospólstwa.— U Rzymian sędzią był jej mąż; podczas sądu cała rodzina była zebrana, a każdy obywatel miał prawo ją oskarżać. Wyrok był zwykle bardzo surowy. Najczęściej winną karano śmiercią. — W wiekach średnich, kochanków oprowadzano po mieście bez odzieży, a potem skazywano na znaczne grzywny. — W Prowancji obwożono ich na osłach, z twarzą do ogona obróconą. — W Turcji dziś jeszcze często kobietę kamienują a mężczyźnie głowę ucinają. — W głębi wyspy Sumatry, żyje lud dziki, zwany Batta. Tam wspólnik wiarołomnej żony, staje się własnością jej męża, który go może upiec i zjeść. (Dobrego apetytu.) — W Chinach kara jest straszna. Kobietę ścinają, mężczyznę zaś krzyżują. — W krajach ucywilizowanych za dni naszych, kochanków takich, w najgorszym razie, wsadzają do kozy...

— Wiadomo, że słoń jest zwierzęciem najroztropniejszem. Lubi on ludzi, lecz chce także, by go człowiek szanował; obrażony staje się groźnym. W jednem miasteczku na Szląsku, stały niedawno przed cyrkiem Mayera dwa słonie; przedstawienie miało się wkrótce rozpocząć. Tłum gawiedzi przypatrywał się im zbliska, a słonie według swego zwyczaju wyciągały trąby, aby co dostać. Mimo ostrzeżeń dozorcy, aby zwierząt nie drażnić, jeden chłopiec wiejski dał słoniowi zażyć tabaki; w odpowiedź na tę niegrzeczność, słoń wziął go za nogę i także niegrzecznie rzucił na ziemię. Ogólny śmiech towarzyszył tej produkcji, nieobjętej programem. Nie zważając na przykład, inny chłopiec upiekł drugiego słonia palącem się cygarem. Rozgniewane zwierzę podniosło napastnika do góry, i z taką gwałtownością rzuciło go na ziemię, że nieszczęśliwy na miejscu ducha wyzionął.

— Talleyrand, o którym wiadomo, że należał do najdowcipniejszych ludzi swojej epoki, siedział raz między paniami Stael i Recamier. Dla obu pań grzeczny, z obiema rozmawiający, z częstszym jednakże i wdzięczniejszym uśmiechem zwracał się do drugiej.

„Ciekawam — przerywa nagle pani Stael, nieco zadąsana — gdybyśmy tak obie wpadły naraz w wodę, którą z nas wpierw byś pan ratował?“

„O baronowo! — odrzekł Talleyrand, ja jestem pewny, że pani pływasz wyśmienicie!“

— Stałość i spokój Indjanina amerykańskiego w obec śmierci, są prawdziwie godnemi podziwienia. Straszliwy przykład takiej siły duszy podaje nam dziennik *Omaha Herald*.

Dnia 13. marca r. 1874. pisze korespondent tego dziennika, wybraliśmy się w drogę dla zwiedzenia wodospadów „Yellow Stone,“ prawie zupełnie jeszcze nie znanych. 2 kwietnia, Indjanin, towarzyszący naszej karawanie, oznajmił nam, że znajdujemy się w pobliżu maleńkiej bandy dzikich. W czasie następnej nocy zniknęły nam trzy konie pociągowe, widocznie za sprawą tych niebezpiecznych sąsiadów. Jak tylkośmy tę kradzież postrzegli, to znaczy przed świtaniem, udaliśmy się na wyszukanie złodziei, i kwandrans nie minął, a już byliśmy na ich tropie. Przewodnik nasz, Indjanin, zawiadomił nas, że *canon* (wąwóz) w który ścigani przez nas rabusie się zapędzili, ma tylko jedno wyjście, położone nieco wyżej od wodospadów, z których pierwszy ma 43 a drugi 106 metrów wysokości. Potrzeba więc tylko było pospieszenie ścigać za nimi cośmy też uczynili.

Po trzech godzinach gwałtownego galopu siedzieliśmy prawie na karku bandzie i znajdowaliśmy się właśnie w punkcie rozszerzania się wąwozu, gdyśmy postrzegli, że złodzieje nasi rzucają się do przeprawy przez rzekę *Yellow Stone*, na tratwie z drzewa, uniesionego przez wodę, związanej lada jako rzemieniami ze skóry wołowej. Trzynastu mężczyzn i pięć kobiet zajmowało już tę tratwę. Nim dobiedz zdołaliśmy, odpłynęli prawie na połowę rzeki i silili się dostać do przeciwnego brzegu, za pomocą kawałów kory, zastępujących im wiosła. Trzy nasze skradzione konie, a cztery Indjan, walczyły przeciw prądowi Yellow Stone; cztery jednak z nich tylko dopłynąć zdołały brzegu, resztę zaś woda porwała.

Wnet i tratwa dzikich dostała się w nieubłagany prąd, pędzący ku wodospadom, pomimo usiłowań kobiet, uzbrojonych w owe wiosła z kory. Osiemnaścioro Indjan dążyło ku pewnej zgubie.

Bez tchu spoglądaliśmy na to widowisko z brzegu. Nagle wystrzał odezwał się tuż koło nas, a z tratwy odpowiedział mu krzyk boleści. To nasz Indjanin strzelił do gromadki pędzącej na śmierć.

— Na miłość Boską, zawołałem, precz z fuzją! widzisz przecież, że wnet „Yellow Stone“ połknie tych biedaków!

I w istocie już tratwa obracać się poczęła w wirze poprzedzającym otchłań. Jeden z dzikich podniósł się, napiął łuk i wypuścił strzałę, która gwiżdżąc utonęła w ramieniu naszego przewodnika. Ten odwdzięczył się kulą, która wyrwała nowy krzyk boleści na tratwie. Wówczas schwyciliśmy za rękę naszego Indjanina i wydarliśmy mu strzelbę.

Widok jaki się przedstawiał oczom naszym, należy do tych, które się nigdy nie zacierają w pamięci. Indjanie porwani byli dotąd przez prąd wolny od skał, ale niżej przed nimi widać było punkta czarne, wychylające się ze spienionej wody. Stary Indjanin jakiś podniósł się, wojownicy i kobiety okolili go; on przemówił kilka słów, pożegnalnych zapewne i zwrócił się twarzą ku słońcu, a potem okrywając się z godnością wołową skórą swoją, usiadł. Wówczas kobiety rzuciły w rzekę swoje wiosła z kory i na zagłębiającej się trawie jęły wyrywać sobie włosy z grobowem wyciem, podczas gdy wojownicy, stojąc kołem, ściskali się za ręce i zawiedli swój melancholijny hymn śmierci.

Przepaść coraz bardziej zbliżała się, a oni stali nieporuszeni. Gdy, skorsi od strzały, przybyli do skrętu katarakty, podnieśliśmy kapelusze w uniesieniu podziwu i boleści; oni stali poważni i spokojni. Wreszcie zatonęli. Po nad spienionym wirem, który ich pochłonął, przeleciały dwa orły. Co za scena i jacy ludzie!...

O Indjaninie to szczególnie powiedzieć można, że dochowuje danego słowa, aż do grobu. Z pomiędzy *Chocta w'ow*, z terytorjum indyjskiego, pewien „wojownik“, skazany został na śmierć przez rozstrzelanie za rozmyślne morderstwo. Po wyroku prosił o zwłokę dwudziestodniową dla pożegnania się z rodziną i przyjaciółmi i przygotowania na śmierć. Wziąwszy od niego słowo honoru, że stawi się w terminie egzekucji, pozwolono mu odejść bez jakiejkolwiek innej rękojmji, wiedziano bowiem, co znaczy słowo Indjanina.

Przez dwadzieścia dni, skazany nie dał ani słychu o sobie, ale zaufanie w obietnicę jego było tak wielkie, że o oznaczonej godzinie, przygotowania do egzekucji były skończone, i rozumie się, widzowie na swoich miejscach.

Godzina dana wybiła i wraz z nią Indjanin się zjawił, w całym pędzie konia, w towarzystwie trzech sióstr i trzech braci swoich, tak świeży i ochoczy, on i jego towarzystwo, jak gdyby na taniec albo na hulankę przybywali.

Trumna stała już w pogotowiu.

— Czy przypadkiem nie będzie za mała dla skazanego? spytał ktoś z obecnych.

Na żądanie jednego ze swoich braci, Indjanin położył się do tej ostatniej pościeli, wstał z niej i uśmiechając się:

— Jakby na miarę zrobiona, — rzekł.

Podczas tego, obecni byli w jak najlepszym humorze, a skazany, razem z nimi śmiał się i żartował najswobodniej.

Gdy już wszystko było gotowe, Indjanin ukląkł na ziemi, jedna z sióstr zawiązała mu oczy, jeden z braci wziął go za prawą rękę a szeryf za lewą. Pomocnik kata spełniający wyrok, poszedł stanąć przy drzwiach opuszczonej szopy, o dziesięć kroków od pacjenta. W chwili, gdy miał wymierzyć i strzelić, strzelba jego wypaliła przypadkiem i kula poszła w dach tej starej rudery, przy której stał; na huk strzału, skazany podnosi powoli głowę, ale nie rzekł ani słowa. Gdy zaś egzekutor kończył nabijać na nowo broń, jeden z braci Indjanina, nakreślił na piersiach jego, na samem sercu, nieforemne koło palcem umaczanym w ślinie i zaczernionym prochem, i wskazał punkt ten za cel katowi. Wreszcie kat wymierzył metodycznie, Indjanin padł w tył i skonał drgnawszy kilka razy, z rękami wciąż jeszcze w rękach brata i szeryfa.

Nikt z obecnych nie zdawał się wzruszonym tą sceną; matka tylko uroniła kilka łez, ale gdy jeden z synów krzyknął na nią:

„Tylko bez krzyków! Milczmy!“ — matka płakać przestała.

Oto jak Indjanin dotrzymuje słowa.

To lekceważenie życia, jest jedną nawet z największych zawad, stających na drodze do pozyskania Indjanina dla naszej cywilizacji, ta bowiem przywiązuje nieco większą wagę do bytu każdej jednostki, a *Czerwono-skórny* pozbywa się z łatwością istnienia, które mu cięży i również łatwo innych go pozbawia.

Odpowiedzi Redakcji.

— *Panu P. w Krakowie.* Serdeczne dzięki za życzenia i zachętę. Wytrwale będziemy dążyli do celu. Zapowiedzianą tragedję prosimy zatrzymać, ponieważ postanowiliśmy wyjątkowo tylko umieszczać w „Tygodniu“ utwory dramatyczne.

— *Pani F. S. poczta Stanisławów:* Pyta nas Pani, czy „Tydzień“ będzie illustrowany. Dążymy do tego, ale wpierw musimy sobie zdobyć znaczne koło czytelników. Pismo illustrowane może być tylko bardzo dobre; półśrodków nie znamy. Dobre zaś illustracje kosztują ogromne sumy. Potrzeba także całego zakładu drzeworytniczego; mamy niepłonną nadzieję, że w ciągu roku przyszłego usiłowania nasze zostaną i w tym kierunku pomyślnym uwieńczone skutkiem. Na początek chcieliśmy dać przynajmniej illustrację humorystyczną, ale po kilku kosztownych próbach, musieliśmy od tej myśli odstąpić.

— *Panu Z. R... w Czerniowcach:* Rozprawa Picarda będzie ogłoszona w jednym z pierwszych numerów, a powieść Jana Lama „Idealiści“ wyjdzie w ciągu I. kwartału.

— *Panu S. Chamcowi w Paryżu:* Dziękujemy. *Kronika paryska* przyszła jednak za późno; musieliśmy ją odłożyć do numeru następnego. Resztę listownie.

— *Panu W. K... w Toruniu:* Na zapytanie pańskie, jakie jest najlepsze pismo humorystyczne w Galicji, odpowiadamy, że „Szczutek“ wychodzący we Lwowie, zasługuje ze wszech miar na uznanie. Wyższa humorystyka i głębsza satyra przebijają w nim z każdego prawie wiersza.

Przez nieuwagę rewidenta w drukarni, wkradło się w jednej części nakładu kilka omyłek, zwłaszcza w tekście francuskim w arkuszu drugim. W przyszłości nie nastąpi nic podobnego.

Treść Nr. I.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.